odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok IV. Nr 28 (176)
Łódź, 16-VII. 1961 r.
cena 1 zł

DYNASTIA PROLETARIUSZY

JANUSZ ROSZKO

III nagroda w konkursie „Opisanie Łodzi"

NASZ LAUREAT

Janusz Roszko urodzony w roku 1932 we Lwowie. Studia ukończył na wydziale filozoficzno-historycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w roku 1954. Pracę dziennikarską rozpoczął w redakcji „Dziennika Polskiego" w Krakowie w roku 1951, gdzie dziś pełni funkcję kierownika działu reportażu. W roku 1957 został laureatem nagrody im. Juliana Bruna II stopnia, w roku 1960 otrzymał I nagrodę w konkursie na reportaż, organizowanym przez redakcję „Dookoła Świata" pt. „17 województw". Laureat innych nagród w konkursach dziennikarskich.

Laureatom naszego konkursu zadaliśmy pytanie:

„Dlaczego jestem reporterem?"

Odpowiada Janusz Roszko:

Pytanie mniej więcej takie, jak „Dlaczego jesteś chory na grypę", czy też „dlaczego jesteś lunatykiem". Zaraziłem się gdzieś bakcylem reportażu, ale kiedy, jak i dlaczego — niepodobna ustalić. Czy chorując na grypę ktoś wie, w jakich zaraził się okolicznościach? Reporterka jest czymś w rodzaju niebezpiecznego hobby, jak lunatyzm. Nie zarabia się na tym wiele pieniędzy a przejścia są czasami diablo niebezpieczne.

Raduj się, ortodoksyjny reporterze, bo oto otrzymałeś temat jak trzeba. W sam raz. Suwmiarka do mierzenia proporcji i pion do badań ideologicznych dają pozytywne wyniki. Wszystko jest takie jak trzeba. Temat na medal: Widzew. Jest tradycja, są dzielni ludzie i perspektywy. Wprawdzie łodzianie słowo Widzew wymawiają z wyraźną niechęcią i to wówczas, kiedy poczują nieprzyjemny zapach w powietrzu. Bo odór ten pochodzi z Widzewskich Zakładów Włókien Sztucznych, które mają podobno za niski komin. Poza tym na Widzewie kominów jest wiele, a taki widok zawsze cieszy ortodoksyjnego reportera.

Staniemy więc sobie na rogu Niciarnianej i Armii Czerwonej, aby w kiosku wypić bombę piwa i zastanowić się co z tym fantem zrobić. Czerwony Widzew z zakładami 1 Maja, osiedlem drewnianych domków postawionych przez Kunitzera, połączony z centrum jedną linią tramwajową i jedną ulicą o fatalnym kocim bruku. Widzew bez kawiarń, klubów i bez jednej knajpy, w której ortodoksyjni reporterzy lubią spisywać swoje obserwacje i tropić kroki współczesności, są bowiem przyzwyczajeni do pracy przy stoliku.

Pan w białym kitlu wlewa piwo do kufla wprawnym ruchem i słucha opowieści starego wąsacza: „I wreszcie poszedł do komórki i złapał tego, co kradł gołębie. W biały dzień. Nic się łobuz nie bał. Miał coś osiem lat. Chodzi do tej szkoły na Szpitalnej".

Fakt został odnotowany i uwaga ortodoksyjnego reportera została odwrócona od rzeczy zasadniczych. Niech sobie dymią zakłady, niech robotnicy wracają ze zmiany i poczekają chwilę w domkach kunitzerowskiego osiedla. Zobaczmy jak to było z tą drobną kradzieżą gołębi. Reporter więc postanawia się wtrącić do rozmowy: „Przepraszam, a gdzie ukradli te gołębie?" I dalej wszystko przędzie jak na wrzecionie.

Gołębie skradziono przy ulicy Kazimierza. Po obu jej stronach ciągną się bliźniacze, drewniane domki poczerniałe i smutne od starości — w stronę czerwonego kościoła. Zresztą kościół na Widzewie był też kiedyś drewniany — pani Kunitzerowa żona właściciela Widzewskiej Manufaktury wygrała na loterii niewielką kaplicę i kazała ją przenieść na Widzew. Były czasy, kiedy wygrywało się na loterii nawet kościół. Ale ludzie z Widzewa nie wygrywali nigdy. Szczęście nie zaglądało na ulicę Niciarnianą, omijało Kazimierza, Tunelową, Szpitalną... Szczęście lubi chodzić wspaniałymi, szerokimi ulicami, przeglądać się w kolorowych i pełnych przepychu oknach wystawowych, wstępować do luksusowych lokali i słuchać, jak korki strzelają z butelek szampana. Po co miałoby przychodzić na Widzew? Za daleko, a na bruku Rokicińskiej nawet w Rolls-Royce potężnie trzęsie.

Teraz perspektywę ulicy Kazimierza przysłaniają drzewa, okryte świeżą zielenią. To łagodzi brutalność kształtów, beznadziejność krajobrazu i powiedziałbym dodaje wdzięku o ile można dodać wdzięku czemuś, co wdzięku wcale nie posiada.

Gołębie skradli mali chłopcy w biały dzień. Było samo południe kiedy Jerzy Gondek, młody robotnik z Wifamy złapał malca w swojej komórce. Trzymał gołębia w ręce. „Co tu robisz, łobuzie!" wrzasnął Gondek. Chłopiec płakał, złapany za rękę szedł potulnie z ulicy Kazimierza na Górkę. Była to już nie pierwsza kradzież i Gondek postanowił odebrać gołębie, które dawniej mu ukradziono. Miały postrzępione skrzydła i ledwo, ledwo latały.

Weszliśmy z Gondkiem na podwórko. Gołębie siedziały już na dachu jego domu, a raczej domu pana Kunitzera i pogruchiwały w słońcu. W ogródkach krzątały się kobiety, kopały grządki i sadziły kwiaty. Starzy siedzieli przed ogródkami na krzesłach, ciągnąc pogawędki długo i ze smakiem, jak kufel chłodnego piwa. Na sznurach suszyła się kolorowa bielizna. Po diabła szukają takich scen u Włochów, po co fotograficy przywożą rzekomo egzotyczne fotogramy z Neapolu czy jakiegoś San Fredriano? Na Widzewie jest to samo, tylko trzeba przekroczyć mroczną sień i wydostać się na słoneczne podwórko.

— Powiedzcie — pytałem nieco naiwnie — czy takie kradzieże gołębi zdarzają się często? Pytałem ludzi starych i młodych, urzędników i milicjantów, lekarzy i nauczycieli. Odpowiadali mi tak samo: to dziwna historia. Do tąd Widzew był dzielnicą uczciwą, nie było tu chuligaństwa, pijaństwa, kradzieży. Coś niedobrego dzieje się z naszą dzieciarnią. Dlaczego? Przecież żyją teraz w lepszych warunkach, przecież to nie trudne warunki popchnęły malców do głupiej kradzieży gołębi.

Gondek, kiedy poszedł z malcem na Nowy Świat, aby odebrać swoje gołębie, był bardzo zdziwiony. W domu rodziców małego rabusia zobaczył telewizor, piękne radio, motocykl na podwórku i elektryczną pralkę. Zapamiętał to świetnie, bo sam jest młody i nie zdążył się tego wszystkiego dorobić. Ojciec malca nawet nie bardzo się przejął. „Proszę pana, ja nie miałem młodości takiej jak trzeba, harowałem od małego. Niech dzieci mają wolność". Gondek oburzony nie wiedział, co ma powiedzieć. Zaklął szpetnie, wziął swoje gołębie i poszedł. Ale sprawa była już wcześniej zgłoszona na milicji i musiała tam znaleźć epilog. Smarkacz, zapytany dlaczego brał gołębie odpowiedział bezczelnie sierżantowi: „Kielicha pan wypiłeś?" „Kobry" pan w telewizji nie oglądasz?" I okazało się, że chciał zrobić w biały dzień przestępstwo doskonałe. A że bardzo lubi gołębie — więc one posłużyły mu jako realia. Nie jako cel przestępstwa, ale środki. Żeby było przestępstwo — coś trzeba zrobić. Tego epilogu już pan Gondek nie słyszał, bo wówczas byłby jeszcze bardziej zdziwiony.

Ortodoksyjny reporter otrzymał i swoją porcję zdziwienia. Wypadki przestępczości wśród nieletnich są bardzo częste na Widzewie. Interwencji w wypadkach chuligaństwa wśród dorosłych jest bardzo niewiele. Przeciętnie dwie do trzech na tydzień. Awantura w sklepie, albo pijany rozrabia na ulicy. Ostatnia melina z wódką została zlikwidowana w grudniu 1960. Nie znaczy to, że była ostatnia. Prostytucji nie ma. Poważnych kradzieży i włamań niewiele — a ich sprawcami są specе ze śródmieścia. Natomiast przestępstw dokonywanych przez nieletnich jest całe multum. Zginęły słuchawki we wszystkich kioskach telefonicznych. Ukradziono gołębie. Zginął kabel z komórki jakiegoś przedsiębiorstwa. Było nawet włamanie do budki spożywczej z kradzieżą papierosów i batonów czekoladowych.

Więc oto masz pasztet, ortodoksyjny reporterze: osta-

Dalszy ciąg na str. 4

SENSACJA...

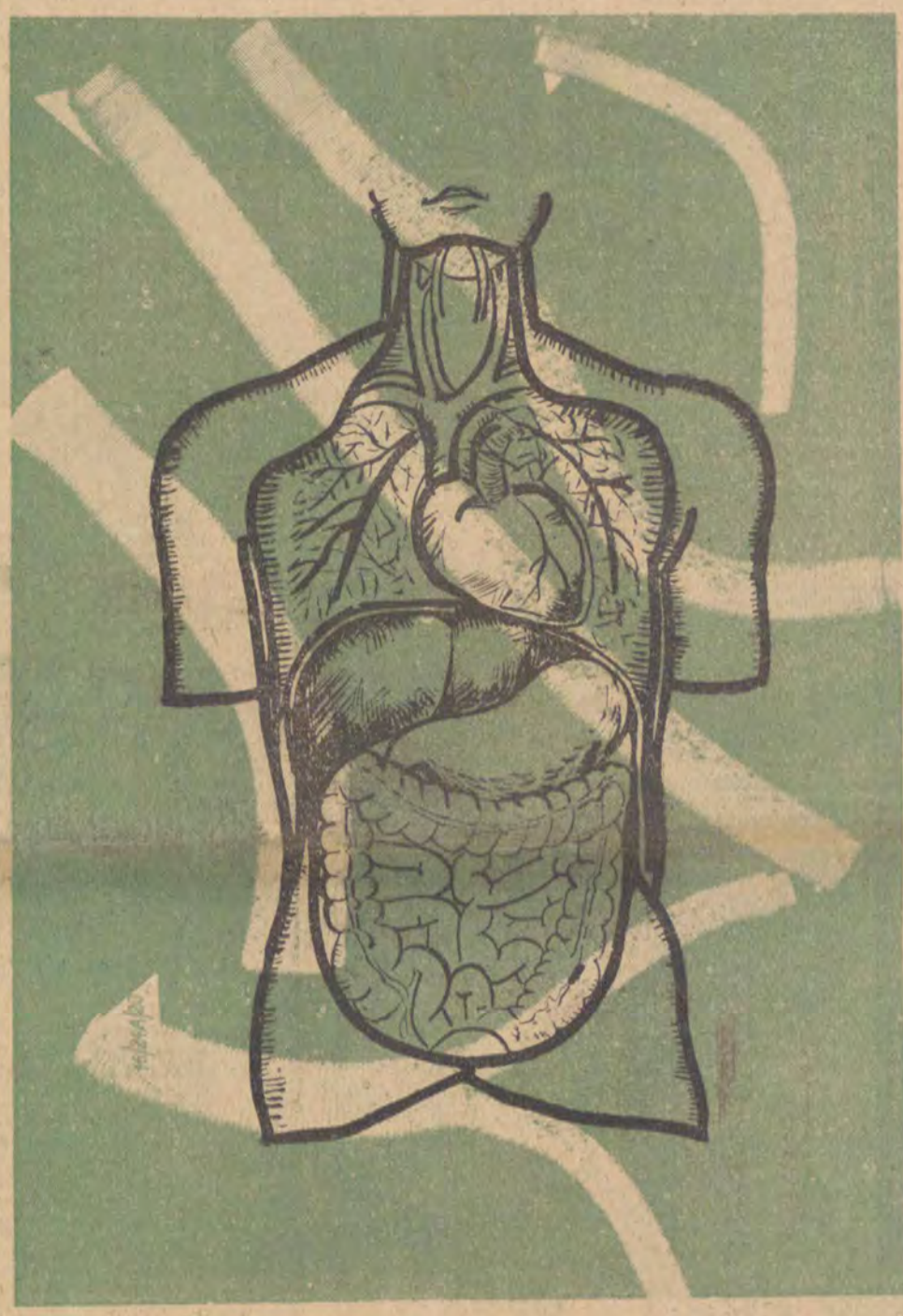

SZTUCZNE TĘTNICE

PISZEMY O NICH NA STR. 12

ROZMOWY O POLITYCE KULTURALNEJ

ALEKSANDER POSTOŁOW

Rozważania na odpuście

Słońce było już nisko, ale upał jak by stężał między zielonymi ścianami drzew. Aleją przelewał się tłum świąteczny, rozchełstany. Gromady wyrostków, trzymające się za ręce pary, żołnierze zerkający na zalotnie uśmiechnięte dziewoje, statecznі rodzice otoczeni wianuszkiem dzieci, wszystko to przetykane przeraźliwie dzwoniącymi rowerzystami płynęło w dwóch przeciwstawnych kierunkach. W głębi parku, w rosnącym cieniu drzew tkwiły tu i ówdzie wysepki biwaków ró dzinnych. Dopijano resztek wódki, szły w ruch karty, a wykwitające z różowych halek obfite w kształty matrony rozdzielały wałówki. Strzępki rozmów, piskliwe nawoływania dzieci, krzyki wyrostków mieszały się w powietrzu z płynącymi z pobliskiego stawu chrapliwymi dźwiękami jazzu. Unoszony prądem ludzkim, znalazłem się w ZOO. Przecięta szynami zadrzewiona ulica, a w jej wybrzuszeniu — mały plaqyk. Nad kłębiącym się tłumem pomost wędrownego sklepu MHD, obok kilka stoisk z figurynkami. Podszedłem bliżej. „Tylko za dwa złote, tylko za dwa złote!" darli się sprzedawcy. Z opatrzonych numerami kręcących się stolików szczerzyły na mnie zęby maszkary. Figury, figurki, figurynki, koguty, pieski, pajace i tancerki. „Tylko za dwa złote, tylko za dwa złote!", „Obarzanki, obarzanki!" „Lody p'ngwin!", „Grać i wygrać! Stawka jeden złoty!" Obok na stoliku miniaturowe Monte Carlo. Do zaimprowizowanego kasyna ani się dociснąć. Z ciasno obstawionego koła wzniesi się ręka z karta. Płyną okrzyki: „Stawiam 20 złotych!", „Kto da wiecej?!". Upał, kurz. Spocony świąteczny tłum, maszkary, obarzanki, lody, hazard. Brak tylko karuzeli. Ależ jest, jest! U wylotu alei. Stamtąd właśnie płyną zwielokrotnione przez megafon dźwięki najnowszych przebojów. „Tango Milonga". „Czemuś o mnie zapomniał..." itp.

Przetarłem oczy. Nie, to nie złudzenie. Dwadzieścia minut jazdy tramwajem i znajdziemy się w centrum wielkiego miasta, ośrodka nauki i kultury. Opera i operetka, teatry, kina, kluby z telewizorami, nowoczesna technika, wartko płynące życie, a obok — małomiasteczkowy tłum, zabawa jak „za batiuszki cara".

Wśród odwiedzających nasze miasto utarło się zdanie, że Łódź to ulica Piotrkowska i ogromne, rozległe peryferie. Zdanie niezupełnie słuszne. Ale nawet uwzględniając przemiany urbanistyczne Łodzi, odciążenie głównych arterii, imponujące budownictwo ostatnich lat — Łódź pod względem kulturalnym to wyposażone w urządzenia śródmieście i małomiasteczkowe, rozległe peryferie. Po II wojnie światowej, po włączeniu do miasta nowych, na wpół wiejskich terenów, po dużej fali migracji z okolicznych miasteczek i wsi — środowiska leżące poza kręgiem życia kulturalnego doznały wybitnego wzmocnienia. Wzrost konsumpcji kulturalnej nie idzie w parze z dynamicznym rozwojem instytucji i urządzeń kulturalnych, jakie obserwujemy w ostatnich latach. Jak zasypać ową przepaść, dzielącą śródmieście od dzielnic peryferyjnych? Jest to nie tylko problem nasycenia peryferii urządzeniami zapewniającymi kulturalną rozrywkę, jest to głównie sprawa rozszerzenia konsumpcji kulturalnej, doprowadzenia do urządzeń kulturalnych wielkiej rzeszy obywateli naszego miasta. Sprawa niełatwa. Nowe potrzeby, nowy styl życia nie rodzą się od razu. Wymaga to długofalowej, przemyślanej polityki kulturalnej, dobrej znajomości zróżnicowanych środowisk, dużej operatywności, współpracy prasy, radia, telewizji i innych instytucji. Zresztą dla takich instytucji, jak teatry, prasa, wydawnictwa, a nawet kina, rozszerzenie konsumpcji kulturalnej to sprawa ich legitymacji życiowej.

Kryzys widowni teatralnej jest rzeczą często dyskutowaną w środowiskach twórczych. Wyrażano niegdyś obawę, że masowe imprezy typu rewii francuskiej „Paris sur Glace" obniżą wydatnie frekwencję w teatrach. Nic bardziej fałszywego. Niewyrobiony widz pójdzie na barwne, łatwo zrozumiałe widowisko, a do teatru, wymagającego pewnego przygotowania, nie pójdzie. Odebranie takiemu widzowi spektaklu w rodzaju „Paris sur Glace" wca le nie zbliży go do teatru, będzie on szukał taniej rozrywki gdzie indziej, może w cyrku, może na odpuście. Tu pragnę wtrącić swoje trzy grosze do rozmów o polityce kulturalnej, jakie toczą się od dłuższego czasu w „Odgłosach". Rozmowy te koncentrują się głównie wokół teatrów łódzkich, repertuaru, stosunków z dramaturgami, unikając jak dotychczas istotnego dziś zagadnienia, jakim jest walka o widza. Wcale nie mam na myśli mechanicznie robionej aktywizacji po zakładach pracy. Organizacja nowej widowni wymagałaby może rozszerzenie kontaktów z świetlicami zakładowymi, zapewnienia transportu (rozległe peryferie), odpowiedniego repertuaru, objaśnienia sztuki i dyskusji z widownią. Zresztą pewne próby zdobycia robotniczej widowni były już czynione. Pamiętam, że w swoim czasie niektóre zespoły aktorskie, czy też poszczególni aktorzy, podejmowali protektorat nad zespołami amatorskimi. Czy nie warto tej akcji kontynuować? Czy nie warto by też zaaranżować dyskusji z robotniczym widzem, właśnie na temat obejrzanej sztuki? Czy na podstawie kontaktów z widownią robotniczą nie nasunęły się pewne sugestie odnośnie repertuaru? Pamiętam na przykład, że przed wojną przy ulicy Ogrodowej, naprzeciwko Zakładów im. Marchlewskiego, tam, gdzie obecnie mieści się kino, był Teatr Popularny, który prowadził Józef Pilarski. Teatr, obliczony wyłącznie na widownię robotniczą. Czy nie warto by sięgnąć do tych doświadczeń? Czy nie warto wreszcie skorzystać z doświadczeń Skuszanki w Nowej Hucie?

Chyba warto jednak spojrzeć na repertuar i pracę teatrów łódzkich także od tej strony, od strony widza. Bo tak, jak ujmują to dotychczasowi dyskutanci, mimo szeregu cennych uwag, sprawa teatru została oderwana od widowni, gubiąc się nieraz w abstrakcyjnych rozważaniach. Upowszechnienie kultury nie ogranicza się zresztą do spraw teatru. Problem budzenia nowych potrzeb występuje także i w czytelnictwie, plastyce, muzyce. Trudno tu o generalną receptę, bo przecież każdy człowiek jest inny, a i środowiska są mocno zróżnicowane. Zdaje się jednak, że obecne formy upowszechnienia, takie jak odczyty czy wystawy, zbyt mało liczą się z zainteresowaniami odbiorców. Można przecież skorzystać z doświadczeń kierowników świetlic, można tworzyć niewielkie grupy zainteresowań, można prowadzić robotę oświatową w szerszym zakresie w środowiskach bardziej dojrzałych na tzw. uniwersytetach robotniczych. W każdym jednak wypadku należy unikać sztywnych form i rutyniarstwa. Robota kulturalno-oświatowa tego nie znosi.

Na każdym odcinku życia kulturalnego w naszym mieście, podobnie jak zresztą w całym kraju, występuje niezmiernie trudny problem rozszerzenia konsumpcji kulturalnej. Niedostrzeganie tego problemu, zawężone spojrzenie na politykę kulturalną, sprowadzeniu dyskusji do aspektu treść wewnątrz środowiskowych może wprawdzie tu i ówdzie budzić dreszczyk sensacji, ale sprawie upowszechnienia kultury wcale nie służy.

Przy okazji mały żal do naszej łódzkiej prasy. Nie dostrzega ona na ogół tego podstawowego dla naszego miasta problemu, jakim jest upowszechnienie kultury. Nie dostrzega też żmudnej, codziennej, nieraz pionierskiej pracy licznych instytucji, klubów, świetlic, progagujących wiedzę i kulturę wśród szerokich rzesz. O ruchu amatorskim, niezmiernie przecież ważnym, bo zbliżającym szerokiego widza do teatru, filharmonii, plastyki, jakoś głucho. Nawet o barwnym, odbywającym się u nas niedawno festiwalu pieśni, tańca i muzyki ludowej pisano raczej mało. A przecież nam wszystkim powinno zależeć na szerokiej propagandzie osiągnięć ruchu amatorskiego. Skończmy wreszcie z tymi rachunkami i obrachunkami w kulturze, obrachunkami bez uwzględnienia istotnego czynnika, któremu kultura ma służyć, bez widza, słuchacza i czytelnika.

ERNEST HEMINGWAY

Dnia 2 lipca br. w Sun Valley w stanie Idaho kula ze sztucera przerwała życie jednego z najwybitniejszych pisarzy współczesności — Ernesta Hemingway'a. Wielki człowiek, twórca porywających książek, zamknął w ten sposób legendę swojego życia.

W pancernych sejfach amerykańskich banków leżą maszynopisy niepublikowanych jeszcze dzieł pisarza. Jest coś wstrząsającego w fakcie, że jeszcze długo po śmierci twórcy, brać ł-dziemy do rąk jego nowe, nieznane książki. Jest coś wstrząsającego w fakcie, że Wielki Myśliwy zginął tak przypadkową — niepotrzebną śmiercią.

Ernest Hemingway był wielkim pisarzem. Trudno napisać więcej po' d to banalne stwierdzenie. To przecież tak niewiele, a jednocześnie ogromnie dużo.

„Żaden człowiek nie jest samoistną wyspą" — brzmią słowa angielskiego poety Johna Donne, będące mottem najwybitniejszego dzieła pisarza, powieści „Komu bije dzwon".

„Jestem zespolony z ludzkością, przeto nigdy nie pytaj komu bije dzwon: bije on tobie".

J. W.

KRYSTYNA WOJTASIK

MÓWI ŁÓDŹ

Radiosłuchacz nie słucha radia. Nie słucha go dosłownie i w przenośni. W wypadku pierwszym, tłumacząc się oczywistym brakiem czasu, zadowala się posiadaniem czarodziejskiej skrzynki, płaceniem abonamentu i (coraz częściej) patrzeniem w telewizor. W wypadku drugim — słucha programu „jak leci", niezbyt uważnie, nie bardzo przy tym rozróżniając audycje łódzkie od warszawskich. A oto rozróżnienie szczególnie nam w przeprowadzanych z posiadaczami radioodbiorników rozmowach chodziło. Ten smętny obraz, nie tak znów mocno przejaskrawiony, posiada jednak dwa wyraźnie jaśniejsze punkty: Ciukszę i „Wesoły Autobus".

Rzecz jest całkiem serio, a tłumaczy się strukturą społeczną mieszkańców Łodzi. Szeregi robotników w znacznym procesie zasilił już napływowy element wiejski. Swą niezaprzeczoną popularność orkiestra mandolinistów zawdzięcza właśnie radiosłuchaczom z tych okręgów pracowniczych, dając im muzykę przystępną, w której dźwięczy specyficzna swojska nuta. Tematykę wiejską reprezentuje również audycja rozrywkowa „Wesoły Autobus". O ile jednak popularności zespołu Ciuksz nie udało nam się z przyczyn technicznych, stwierdzić poza granicami Wielkiej Łodzi, o tyle o ogólnopolskiej popularności „Wesołego Autobusu" można się przekonać na podstawie listów.

Te listy bywają naiwne, pretensjonalne a czasem wzruszające, śląc serdeczne życzenia zdrowia i pomyślności dla wykonawców, wszystkie proszą o przybycie. Trudno oprzeć się pokusie, by nie przytoczyć z nich kilku fragmentów. Oto pierwszy, nadesłany przez koło ZMW z pow. Podębice: „Gdy słuchamy audycji „Wesołego Autobusu", to wprost zazdrość nas bierze dlaczego nie u nas, czy nie mógłby „Wesoły Autobus" do nas zawitać i trochę czasu poświęcić w swym programie dla młodzieży, tej, która pracuje uczciwie, buduje piękno i tworzy życie kulturalne, tym bardziej, o tej która błądzi po manowcach bezdrożnych żyjąc w różnych nałogach obrazując życie chuligańskie..."

Następny urywek pochodzi z listu, który nadszedł z Biłgoraja, woj. lubelskie, od „Komitetu Przeciwalkoholowego Stowarzyszenia Wyższej Użyteczności" (tak głosi stempel w nagłówku). Komitet donosi, że „organizuje szereg imprez artystyczno-rozrywkowych dla społeczeństwa biłgorajskiego poprzez które popularyzuje formy walki z nałogiem pijaństwa". W tym nieudolnym sformułowaniu kryje się optymistyczna i godna zauważenia inicjatywa społeczna i niezachwiana wiara w uzdrawiającą moc rozrywek kulturalnych z „Wesołym Autobusem" na czele.

Orkiestra mandolinistów i „Wesoły Autobus" nie wyczerpują oczywiście zakresu działania naszej radiostacji, a tym bardziej jej ambicji. Ambicje bowiem są duże i, trzeba to przyznać, poparte osiągnięciami, do których należałoby zaliczyć takie pozycje (spośród nadanych w ciągu ostatnich miesięcy), jak oryginalny w pomyśle historyczno-poetycki reportaż o polskich dzwonach (bardzo „radiowy"), wzruszająca audycje pt. „Aktorka i jej lalka" pióra Tadeusza Szewery i Kazimierza Zygmunda, oraz „Światła Łodzi", poetycką audycje Tadeusza Gicgiera. Popularyzacja poezji nie należy do najłatwiejszych orzechów do zgryzienia (przynajmniej od strony przeciętnego odbiorcy), toteż stała pozycja redakcji literackiej Łódzkiej Rozgłośni — „Łódzkie aktualności poetyckie", dająca raz w miesiącu szansę zdobycia słuchacza naszym twórcom, jest bardzo cenną inicjatywą. Redakcja literacka dba również o stronę wykonawczą swych audycji, angażując do nich co najlepszych aktorów o pięknym głosie.

Jednak silniejszy „odzew" wśród radiosłuchaczy, niż audycje literackie, uzyskują te, które poruszają problemy społeczne. Znów miarą zainteresowania są tu przede wszystkim listy. Sporo ich nadeszło np. w związku z wstrząsającym reportażem z domu starców.

Na terenie Łódzkiej Rozgłośni działają jeszcze redakcje: muzyczna, oświatowa, sportowa, młodzieżowa, dziecięca. Każda na swój sposób i w miarę swych sił, stara się dogodzić radiosłuchaczom, uaktualniając, urozmaicając oraz unowocześniając swój program poprzez, tak ostatnio lansowaną, krótką formę. Bo jak stwierdza dyr. Zygmund całogodzinna audycja przy obecnym przyspieszonym trybie życia stała się już przeżytkiem. Pracownicy Łódzkiej Rozgłośni zdają sobie jednak sprawę, że, nie mówiąc już o radiosłuchaczu, borykają się jeszcze z dwoma potężnymi przeciwnikami: telewizją i — Warszawą. Bowiem walka między oddziaływaniem czystego słowa z obrazem i słowem nie jest w tej chwili równa. Novum zawsze bardziej pociąga, ten, kto nabył telewizor, zamyka radio. Pracownicy Łódzkiej Rozgłośni żyją jednak nadzieją (podsycaną znanymi faktami z innych krajów, gdzie telewizja stała się chlebem powszednim i od tego się „przejadła") na renesans swojej placówki. I chyba słusznie. Zresztą już teraz nie którzy z zapamiętałych telewidzów dochodzą do wniosku, że koncertu „najlepiej słucha się przez radio". I mają rację.

Współzawodnictwo między radiem i telewizją ma jednak swoją dobrą stronę, stało się ono bowiem naturalnym bodźcem w pracy radiostacji. I to nie tylko łódzkiej. Gorzej sprawa przedstawia się na innym odcinku walki, o której była mowa — „walki" z Warszawą. Tu, niestety, „wróg" nie jest bodźcem, a raczej czynnikiem hamującym działalność naszej rozgłośni. Wystarczy wziąć do ręki pierwszy z brzegu zeszyt tygodnika „Radio i Telewizja", by stwierdzić ogromną przewagę programu Warszawy nad radiostacją łódzką i innymi radiostacjami w kraju. A Łódź podobno nie jest w najgorszej sytuacji. Znajduje się ona w programie ogólnopolskim na drugim (tak twierdzi dyr. Zygmund), lub trzecim (tak twierdzi T. Giegier) miejscu po Warszawie. Jedynie Kraków dorównuje (lub przewyższa) Łódź. Przykładowo: nasza rozgłośnia nadaje 30 koncertów (popularny Debich) miesięcznie oraz uzyskuje dla audycji słownych 26-30 godzin kwartalnie na antenie ogólnopolskiej. To podobno wiele. No i ostatnio Łódzka Rozgłośnia spotężniała o nadajnik w Tuszynie, spotężniała tak bardzo, że zaczęła zagłuszać Lublin i Białystok, w związku z czym zmuszona jest nadawać specjalny program dla tych miast. W nadajniku trzeba, oczywiście, zlikwidować tego rodzaju usterki techniczne...

Tak więc przy pomocy techniki — i nie tylko techniki — łódzka radiostacja walczy o własną „twarz", o jej wyraźnie zarysowany odbiór w narządzie słuchu i świadomości odbiorców. Bo wbrew temu, co powiedział jeden z indagowanych przez nas słuchaczy, na pewno nie jest radiowęzłem.

JOAN COLLINS
popularna amerykańska gwiazda filmowa

MARCIN KOSTECKI

Kino z bliska

„AKTORSKA DOLA"

Aktor P. kończy przedstawienie w Krakowie krótko po godzinie 22. O tej porze pozostał jeden tylko pociąg do Warszawy, odjazd tuż przed północą, przyjazd do stolicy o 8 rano. Ale aktor P. musi być ucharakteryzowany i gotów do zdjęć w warszawskim atelier najpóźniej o 7 rano. Co robić? Pozostaje szukać połączenia przez Katowice. Tak — jest pociąg z Katowic do Warszawy, przyjazd na miejsce o piątej z minutami — ale najpierw trzeba z Krakowa dotrzeć do Katowic...

A więc aktor P. natychmiast po przedstawieniu jedzie taksówką do Katowic (szybko, szybko!), tam łapie odpowiedni pociąg, w atelier jest już o szóstej, charakteryzacja, o 7-mej początek zdjęć. A potem — popołudniowym samolotem leci z powrotem do Krakowa, by znów ukazać się na scenie. Po przedstawieniu — da capo...

* * *

Aktor D. z Warszawy gra dużą rolę w filmie, kręconym na Śląsku. Na szczęście (?!) zdjęcia odbywają się w kopalni, warunki atmosferyczne i pora dnia nie mają znaczenia... Aktor D. wyjeżdża z Warszawy o 21 z minutami, w Sosnowcu jest o 1-szej. Zjeżdża do kopalni, kręci do 5-tej, o 5.50 wsiada do „Górnika", z powrotem w Warszawie jest o 9.24. Zdąży jeszcze do teatru na próbę, z której na żadne błagania nie chciał aktora D. zwolnić reżyser. Wieczorem — przedstawienie, pociąg, kopalnia, znów „Górnik", znów próba... i tak mija tydzień.

* * *

Obie historie są autentyczne i w niczym nie przejaskrawione. Tak właśnie wygląda życie wielu aktorów, grających w naszych filmach. Gorzej jeszcze, gdy w grę wchodzą zdjęcia plenerowe, aura nagle nie dopisze, przyjazd aktora okazuje się bezcelowy. Opętańczy wyścig z rozkładem jazdy PKP — a potem poczucie daremności całego wysiłku...

Myślę, że oba przykłady dość wyraźnie ilustrują powszednią dolę aktorów filmowych. Co więcej — dobitnie ukazują prawdziwe oblicze pewnego mitu o „słodkim życiu" gwiazdorów. A właściwie wcale nie chodzi o gwiazdorów i gwiazdeczki, ich sytuacja przeważnie jest nieco lepsza, dostają z teatru zwolnienie na cały okres zdjęć w filmie — rzecz tyczy się całej armii tzw. „żelaznych epizodników", całej rzeszy aktorów, grających role drugoplanowe.

To jest cały problem, ważny problem. Dla filmu, dla teatrów, dla samych aktorów, którzy w nieustannej szarpaninie między spektaklem a zdjęciami tracą zdrowie fizyczne i psychiczne. Andrzejewska, Bartik, Czechowicz, Dmochowski — aż po Zintla, zawsze z otwartymi ramionami witani w filmie — okupują garstkę sławy i jakiś tam dobry lub niezły zarobek — zbyt wielkim kosztem.

Dzieje się tak dlatego, że w rozpędzonym rozwoju ilościowym i jakościowym naszej kinematografii uwzględniono i zaplanowano wszystkie elementy techniczne i produkcyjne, nie przewidziano natomiast „drobnego" szczegółu: kto te 25 — 30 filmów ma wykonywać? A nazywając rzecz po imieniu — jak ułożyć współpracę między teatrem i filmem?

W najbliższym czasie powrócę do tej sprawy, w krótkim felietonie nie sposób omówić wszystkich aspektów tego niebywale trudnego zagadnienia.

MARIA KORNATOWSKA

Nasi za granicą

Nadejście lata zwiastuje jak wszem i wobec wiadomo nie tylko tak zwaną kanikułę czyli rdzennej używając polszczyzny — ogórki, ale także sezon wycieczek i to nawet zagranicznych. Ruch turystyczny różnymi się toczy ścieżkami i rozmaite pozostawia za sobą echa i wspomnienia. Za granicę wędrują zresztą nie tylko ludzie ale i filmy. Pragnąc zatem na naszym filmowym odcinku wnieść choćby skromny wkład do monumentalnej antologii „Nasi za granicą" przytaczamy garść uwag pod adresem naszych filmów, znalezionych na łamach znanego i popularnego francuskiego czasopisma Cahiers du Cinema" (nr 120) — wpływającego organu tzw. nowej fali. Uwagi te napisano z okazji odbywających się niedawno w Paryżu dni filmu polskiego.

Krytyk Andrè S. Labarthe pisze, że film polski jest „...filmem młodym, dynamicznym, pełnym idei i pomysłów... jest także filmem poszukującym, filmem eksperymentującym, który z jednej strony opiera się na pewnym doświadczeniu rzeczywistości politycznej i społecznej, z drugiej zaś na tradycji kulturalnej. Dlatego ludzi bliscy aktualnym problemom filmu nie pozostają obojętni wobec tych prób, jakie od wielu już lat reprezentują dzieła A. Wajdy, J. Kawalerowicza, A. Munka, W. Hasa, J. Passendorfera i innych. Próby dyskusyjne, naznaczone estetyzmem, lecz świadczące o ogólnym duchu poszukiwań i dlatego budzące szacunek".

Labarthe w dalszym ciągu swych rozważań zwraca uwagę na silne powiązanie polskich filmowców z tradycjami ogólnokulturalnymi, co nadaje dziełom naszej kinematografii specjalną rangę i charakter. Produkcja polska „...nie zajmuje wprawdzie pierwszoplanowego miejsca w świecie, USA, Włochy, Francja przewyższają ją znacznie swym poziomem — ale z drugiej strony nie można jej lekceważyć, gdyż wyprzedza ona z łatwością Szwecję (mimo Bergmana), Anglię (mimo Losey'a), Niemcy i nawet ZSRR (mimo wszystko)".

Wszystkie prezentowane w Paryżu filmy odznaczają się „pewnym stopniem ambicji, ambicji estetycznej, oczywiście która dowodzi iż realizatorzy pragną gorąco by wartość ich dzieł nie była jednostronna, jednoplaszczyznowa". Pokazy obejmowały 5 filmów. Z bardzo surową oceną grupy krytyków Cahiers du Cinema" spotkały się trzy z nich: „Powrót" „Małe dramaty" „Zezowate szczęście". „Zezowate szczęście" rozłazi się reżyserowi. Brak jakiejkolwiek precyzji w montażu i pewność w prowadzeniu aktorów. Film łączy wprawdzie wiele gatunków ...ale czyni to bez najmniejszego wdzięku».

W „Powrocie" zdaniem Labarthe „najlepszy jest być może jego pesymizm. Pesymizm, który nadaje ogólne zabarwienie większości polskich filmów. Lecz to opowiadanie o powrocie do Warszawy... napisane jest bez talentu, mimo wyraźnych poszukiwań formalnych".

Wreszcie „Małe dramaty" to „...film o dzieciach zrobiony dla dzieci przez duże dziecko, na którego dojrzałość trzeba jeszcze poczekać".

„Pożegnania" natomiast są filmem, który mimo melodramatyczności scenariusza stanowi wielki sukces reżysera. „Has potrafił zainteresować nas swymi postaciami pokazując ich reakcje psychologiczne. Potrafił ożywić je nie uciekając się do tradycyjnych sprężyn melodramtu. A to już wiele..."

„Pociąg" Kawalerowicza był prawdziwą rewelacją tych dni. „Kawalerowicz jest twórcą zagadkowym, który pracuje w sposób nieodgadniony". Krytyka napotyka ogromne trudności w zaklasyfikowaniu tego reżysera. Przy „Cieniu" łączono jego nazwisko z Hitchcockiem. „Matka Joanna" przywodzi na myśl Bergmana i Dreyera. „Pociąg" zdradza pewne wpływy włoskie. Poszukiwania estetyczne w tym filmie noszą znamiona ekspresjonizmu. W „Pociągu" największą rolę przyznano temu „...co niewypowiedzialne, nie dające się sformułować, tej aureoli mglistej i mrocznej, jaka spowiła postacie filmu..." „Pociąg" Kawalerowicza jest długim tunelem, którego zakończenie — owa biała bałtycka plaża — nie rozprasza wcale mroku. Pociąg widmo, pociąg pełen widm, pełen utajonych gróźb które podtrzymują nieustanne napięcie".

Krytyk podpisany E. R. stwierdza na wstępie, iż bardzo lubi „Niewinnych czarodziejów" „Jeśli Kawalerowicz jest Racinem lub Stendhalem nowego filmu polskiego, czemuż twórca „Kanału" nie mógł być jego „Corneillem lub Balzakiem?. W „Czarodziejach"... nie zauważyłem wcale emfazy, lecz prostą, bezpośrednią metodę ujmowania przedmiotów i postaci, metodę pokazywania raczej niż sugerowania. Wajda przedkłada ekspresje i syntezę nad analizę i sugestie czyli krótko mówiąc, kroczy drogą zapoczątkowaną przez Stroheima, a potem kontynuowaną przez Bergmana w dniach jego świetności. Szczególnie podziwiam u Wajdy ...ów tak dlań znamienny brak konfliktu między formą a myślą". Krytyk francuski zastanawia się w dalszym ciągu swych wywodów nad tym, czy rzeczywistosc owej „białej nocy warszawskiej" pokazanej w filmie odpowiada autentycznej rzeczywistości warszawskiej A. D. 1960. Czy jest to tylko mit, marzenie, niepozbawione uroczych zresztą prowincjonalizmów? „Hołd złożony w tym filmie Paryżowi i jego modzie bardziej jest wzruszającym niż irytującym".

W tym samym numerze Jean Douchet omawia „Matkę Joannę od Aniołów", którą nazywa „pierwszym i jednym z nielicznych, godnym uznania filmem festiwalu w Cannes". Sensu filmu nie należy upatrywać w tendencjach antyreligijnych. Kawalerowicza pociąga „...niezbadana tajemnica ludzkiego ducha, przekraczającego granice poznania i niepokojący opór materii, która, pokonana, pojawia się znów w nowej postaci, lub, by narzucić całą swą wszechmoc i zamknąć istoty ludzkie w swym więzieniu, sama czyni się duchem. Nikt nie jest nigdy tą samą istotą. Ta myśl określa nieustannie metody reżyserii. Aktorzy raptownie zmieniają twarz i zachowanie... Ukazują się zupełnie inni, podobnie jak mise en scene zmienia swój rytm".

„...ta sztuka bardzo intelektualna tkwi mocno w aktualnym nurcie europejskiej kinematografii (Kawalerowicz jest bratem duchowym Resnais, Bressona, Antonioniego, Bergmana i innych, przy czym nie chodzi tu o jakieś konkretne wpływy, lecz o wspólny klimat estetyczny i metafizyczny...). Reprezentują oni film który opowiada się za duchem, przeciwko ciału i który ze smutkiem konstatuje zniewalającą i zwycięską moc materii. Mimo swej antyreligijności „Matka Joanna" należy do europejskiego nurtu spirytualistycznego. I należy także do nurtu estetycznego".

„W BIAŁY DZIEŃ"

Heinz Rühmann

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

Friedrich Dürrenmatt i jego twórczość dramatyczna i prozatorska znane są stosunkowo dobrze w Polsce. Tym bardziej godne uwagi jest wejście na ekrany naszych kin filmu, do którego scenariusz napisał jeden z najciekawszych dramaturgów europejskich.

Dramat kryminalny, bo tak chyba można określić film, który zrealizował reżyser hiszpański Ladislao Vajda („Wujaszek Jacinto"), ma za temat sprawę tajemniczego mordercy małych dziewczynek w pewnym rejonie Szwajcarii. Działalność śledcza komisarza policji stanowi oś wokół której rozwija się akcja filmu.

Szwajcarski komisarz Mathai działa dość podobnymi metodami, co jego francuski kolega, znany z ekranizacji powieści Simenona, Maigret. Jest tak samo ludzki i nieufny w stosunku do tradycyjnych metod śledczych, jakże niepodobny do typowych agentów w nieprzemakalnych płaszczach. Dobroduszny pan szuka śladów mordercy, zaś morderca (podobnie jak to było raz u Simenona) jest psychopatą, zboczeńcem.

Przyznam się, że spodziewałem się ujrzeć w tym filmie coś bardziej świeżego w pomyśle, bardziej oryginalnego. Niestety, scenariusz Dürrenmatta, odczytany przez reż. Vajdę zbyt dosłownie, stał się podwaliną filmu, którego tempo jest zbyt monotonne, a odkrycie zbrodniarza następuje stanowczo za wcześnie.

Świetnie natomiast poprowadził reżyser aktora zachodnio - niemieckiego Heinza Rühmanna, znanego u nas z bardzo dobrej roli „Kapitana z Köpenick". Nadał on postaci komisarza wiele dynamizmu, a przy tym ustrzegł się łatwego w tego rodzaju roli popadnięcia w tanie gierki. W epizodycznej roli podejrzanego o morderstwo, zagrał popularny aktor francuski starszego pokolenia — Michel Simon („Urok Szatana", „U schyłku dnia"). Wywiązał się ze swego zadania znakomicie. Jeszcze jedna dobra rola tego aktora do odnotowania.

Tak więc debiut filmowy Dürrenmatta wypadł o wiele skromniej, niż tego mogliśmy się spodziewać. Miejmy nadzieję że, „W biały dzień" nie będzie jedyną próbą sprowadzenia Dürrenmatta do filmu.

DYNASTIA PROLETARIUSZY

JANUSZ ROSZKO

III nagroda w Konkursie „Opisanie Łodzi"

Dalszy ciąg ze str. 1

tnie pokolenie widzewskiej dynastii proletariuszy zeszło na manowce. Atmosfera domu? Bieda robotniczej dzielnicy? Tradycja? Pytanie „dla czego" jest najprostszym z możliwych, ale także najtrudniejszym.

I dlatego wydaje mi się, że rzecz całą trzeba jednak przedstawić historycznie.

* * *

Historia kocha się w sławnych czynach i wielkich bogactwach. Dziejopisów interesują wielkie rody i wielkie fortuny, pełne safesy, portrety wąsatych antenatów z odwiniętymi wylotami kontusza, marmurowe nagrobki i złotem pisane epitafia. Ossoliński, który ożenił się z Firlejówną, Potocki z Ostrorożanką, Radziwił z Denhoffówną czy Jabłonowską. Kogo tam obchodzi że w 1804 roku robotnik z tartaku pod Piotrkowem, Najder, przeniósł się do Łodzi i osiadł na Widzewie, że przyjechali na Widzew Pigułowscy, Lassowie— aby zająć nędzne mieszkanka w drewnianych, robotniczych domkach i powiększać fortuny bawełnianych potentatów.

To było później. Ale Widzew najpierw był zwykłą wioską, mieszkali w niej chłopi biedni i bogaci, przywiązani do swojej ziemi. Szczupły, wysoki urzędnik z Dzielnicowej Rady Narodowej, Szymański, pochodzi właśnie z rodu widzewskich rolników.

— Dziwne tu wtedy panowały obyczaje kiedy ściągać zaczęli ludzie gromadami do tej ziemi obiecanej. Ziemia była droga — dla wszystkich. Dla kapitalistów i dla robotników. Ludzie niechętnie sprzedawali swoje łany Heintzlowi czy Kunitzerowi. Musieli to załatwiać przez pośredników. A jak sprzedali ziemię to starym zwyczajem szli do karczmy i pili. Nie przez parę godzin — ale przez parę dni bez przerwy. Dzieciska zostawały w chałupie, ojciec z matką szli na gorzałkę i pili aż się pieniądze skończyły.

Widzew miał wtedy swego księcia. Najbogatszy człowiek na Widzewie nosił worek na szyi i sprzedawał piasek ze swego pola na budowę. Za jednokonny wóz piasku kazał sobie wrzucać 10 kopiejek do worka — za dwukonny — 20 kopiejek. Zrobił na tym ogromną fortunę. Prócz tego mnóstwo pieniędzy dostał za ziemię — bo był najbogatszym rolnikiem na Widzewie. Nazywał się Bubas. Powszechnie nazywano go „Księcio Bubas". Zimą i latem chodził w barankowej czapie i jednako lubiał zaglądać do kieliszka. Wieczorem, kiedy kończył sprzedawać piasek — worka z kopiejkami nie mógł unieść na szyi. Przerzucał go na plecy i z trudem taszczył do domu. Bubasy zbudowali na Widzewie piękny dom, wynajęli lokal i kazali sobie sprowadzać z miasta Łodzi panienki lekkich obyczajów. Stary „księcio" miał jednak inne manery. Chodził jak dawniej po Widzewie lekko na rauszu, kupował całusa od panienki, która pracowała u rzeźnika na Rokicińskiej naprzeciw Szpitalnej i kładł za to na ławie 5 rubli. To był spory grosz. A kiedy był już mocno „pod krukiem" — wtedy siadał na ulicy i z pogodnym uśmiechem słuchał okrzyków dziatwy: „Niech żyje księcio Bubas". Wypełniał swoją baranią czapę kopiejkami i rozsypywał drobniaki wokoło, jak jakiś rzymski triumfator, o którego istnieniu nigdy zresztą nie miał pojęcia. Na trzeźwo nigdy pieniędzy nie trwonił tak głupio. Był diablo chytry.

A potem przyszedł Kunitzer. Bubas przepuścił swoją fortunę szybko i na stare lata tłukł kamienie na Rokicińskiej szosie. Legenda powiada, że przejeżdżał raz obok Kunitzer i chciał dać podupadłemu księciu 10 rubli. „Panie Kunitzer, Bubasy były dumne i będą dumne. Dziadowizny nie przyjmę. Dobrze mi pracować na powietrzu i zarobię na życie". Cała ziemia Bubasów była już w ręku nowego księcia Widzewa — Kunitzera. Rozrastały się zakłady bawełniane — przędzalnia, tkalnia, a na polach rosły drewniane rodzinne domki dla robotników. Ale oni już nie przejęli obyczajów widzewskich rolników.

Dawne wieki przynosiły ze sobą wspaniałe rozwiązania urbanistyczne. Rzym, Florencja, Wenecja, Kraków mogły się pochlubić wspaniałymi założeniami, uformowanymi wokół kościołów, pomników, ratuszów. Łódź rządziła się innymi prawami. Dla robotników, którzy napływali ze wsi do żywiołowo rosnących zakładów przemysłowych trzeba było budować domy szybko i jak najtaniej. Nie pomniki i nie kościoły były centralnymi punktami założeń urbanistycznych, ale... ustępy. Najpierw budowano wysoki klozecik zbiorowy, a wokół niego blok domów. Komu chciało się myśleć o kanalizacji: kiedy najważniejszą rzeczą było przetwarzanie bawełny na przędzę, przędzy na tkaninę, tkaniny na ruble.

Chcąc nie chcąc reporter musi odszukać te historyczne relikty.

— O, tam koło akacji — pokazuje mi przez okno Szymański.

Ustępik fundowano koło akacji, być może — żeby zapach drzew łagodził inne wrażenia wechowe. Zapomniano przy tym, że akacje kwitną u nas w czerwcu i to tylko przez kilka dni. Ale uważano, że to dla przyzwoitości zupełnie wystarczy.

Najpierw ustęp był wysoki i wchodziło się do niego po schodkach. Pod spodem stała wielka wanna na kółkach, którą co jakiś czas wywożono. Na schodkach, zimą oblodzonych — nie jeden połamał sobie nogi. Przed wojną w tym samym miejscu zbudowano ustępy murowane. Także po jednym dla całego zespołu domków. I uznano, że to musi na razie wystarczyć. Na razie?

Glonka, administrator osiedla, przedstawił mi statystykę, która mówi aż za wiele o warunkach mieszkaniowych robotników na Widzewie. W osiedlu Kunitzera jest 682 mieszkań jednoizbowych, 165 dwuizbowych, 32 trzyizbowe, 9 czteroizbowych. Wynika z tego, że 80 proc. to mieszkania jednoizbowe.

Dla każdego rzędu domów jest jedna studzienka. To wygodne dla tych, którzy mieszkają naprzeciw. Ale biegać z wiaderkiem wody wzdłuż ośmiu domów w kilkustopniowy mróz? Właśnie z Glonką przyszedłem do mieszkania Aleksandra Lassa, emeryta. Pracował przykładnie na działce, odłożył grabie i łopatę, ponarzekał na pogodę, a potem pokazał z dumą studzienkę przed swoim domkiem. „A widzicie — powiada administratorowi — że można to zrobić! A wam się nie chciało!" I potem pokazał jeszcze, że przed każdym z domków wyrosła studzienka. Sposobem gospodarczym, jak powiadają. „I jak wy teraz wyglądacie?" mruga filuternie Lass do administratora. Jak niby wygląda Glonka i jak wyglądają zakłady, które sprawują nadal faktyczny zarząd nad osiedlem.

Tablica pamiątkowa ku czci Tekli Borowiak, wmurowana przy wejściu do Zakładów 1 Maja.

* * *

Oni tu bardzo kochają swoją zieleń. Wiosna, jak tylko przyjdzie na Widzew — czyni cuda, ukrywa paskudne kształty domków, chowa pośród zieleni ustępy i rynsztoki. Wydaje się, że to jeden ogród z bajki, pośród którego postawiono czarowne domki, a ich mieszkańcy wiodą żywot sielski anielski. Kiedy ministranci łamali gałęzie na drzewach, aby ustroić kościół na Zielone Świątki bardzo szpetnie przygadał im majster Cholewiński. Było to jeszcze w 1904 roku, ale widzewiacy pamiętają. „Po co niszczycie drzewa, i tak Najświętsza Panienka ma was w dupie". Majster Cholewiński był wysoki i przystojny. Zawsze w niedzielę stawał przed kościołem z cylindrem w ręku i zaczepiał wychodzących z sumy:

„Co łaska, ofiara — na bombę dla cara".

Cholewińskiego wywieźli na Sybir jeszcze przed rewolucją 1905 roku. Kiedy wrócił — powiadają starzy — już miał niedobrze w głowie. A to wszystko dlatego, że był bezbożnik.

W roku 1905 było groźnie. Fala rewolucji przyniosła ze sobą na Widzew różne szumowiny. Odbierali ludziom pieniądze, gwałcili dziewczęta. Wtedy socjaliści zorganizowali bojówki. Specjalne przeciwko rabusiom i lumpom. Najgroźniejszych rozstrzeliwano na miejscu. Innych przywiązywano do ławy i smagano bykowcem. Nie raz i po kilka tygodni musieli obwiesie leżeć na brzuchu. Od tego czasu był na Widzewie spokój. Nikomu nie chciało się ryzykować głową ani drugą częścią ciała. I teraz chuliganów zliczysz na palcach.

— Pyta pan o wódkę? Ha, niech pan spojrzy po ulicach. Nigdzie ani jednej knajpy. Niepotrzebne. Przed wojną był taki jeden, nazywał się Kargier i prowadził szynk przy Nowogrodzkiej, na rogu Tunelowej. Miał bardzo przystojną żonę. Wysoką, dość pulchną, o czarnych kręconych włosach. Kiedy towarzystwo przestawało pić wódkę — do siadała się do nich — i podciągała wysoko kiecką. W knajpy trzeba było do domu wracać przez nasyp kolejowy i kto miał za mocno w czubie — staczał się na dół jak kamień. A sam Kargier marnie skończył. Żona raz za wysoko podciągnęła kiecki przy młodym przystojniaku a potem z nim uciekła. Szynkarz wyszedł na wał kolejowy i podłożył głowę pod pociąg. Szymański powiedział nawet tak: „Żona go zdradziła i potem musiał głowę pod pociąg podłożyć". Takie mają widzewiacy twarde zasady moralne. Zwłaszcza ci starzy. Zdrada żony jest czymś, czego nie można przeżyć. A więc dlatego Kargier musiał.

* * *

Pigułowski ma już 71 lat, z czego 66 przemieszkał na Widzewie. Siedzę u niego na tapczanie, wtłoczonym w kąt pokoju, który raczej jest niewielką komórką, wypełnioną tak szczelnie gratami, że niesposób się w niej obrócić. Koło tapczanu stoi okrągły stół, za stołem szafa która kończy się tuż przy oknie, po drugiej stronie amerykanka dwuosobowa, dźwigająca stos ułożonej pościeli, sięgającej niemal sufitu. Nad stołem wisi obraz przedstawiający południowe frukta. Ćwiartki pomarańczy mienią się jak żywe. Na stole calcium gluconicum, witaminum C forte i inne leki, które doktor co pan Pigułowski przyniósł z apteki.

W maleńkiej kuchence siedzi przy oknie jasnoblond dziewczynka i przykładnie powtarza za nauczycielem: „Dieser Tisch ist zu klein". Chodzi do dziewiątej klasy i ma trudności z niemieckim, więc stary pan Altenhoff, kolega Pigułowskiego z Wimy, udziela jej korepetycji.

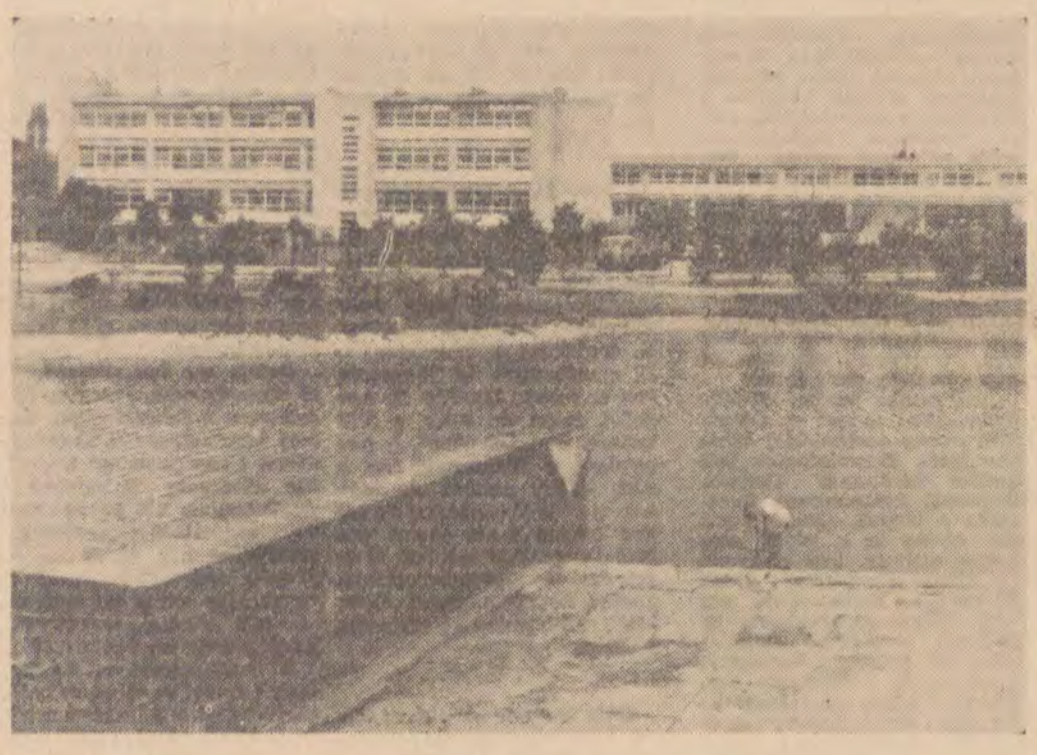

Szkoła Tysiąclecia na Widzewie

Bolesław Pigułowski z ul. Kazimierza 15, przewodniczący Komitetu Blokowego.

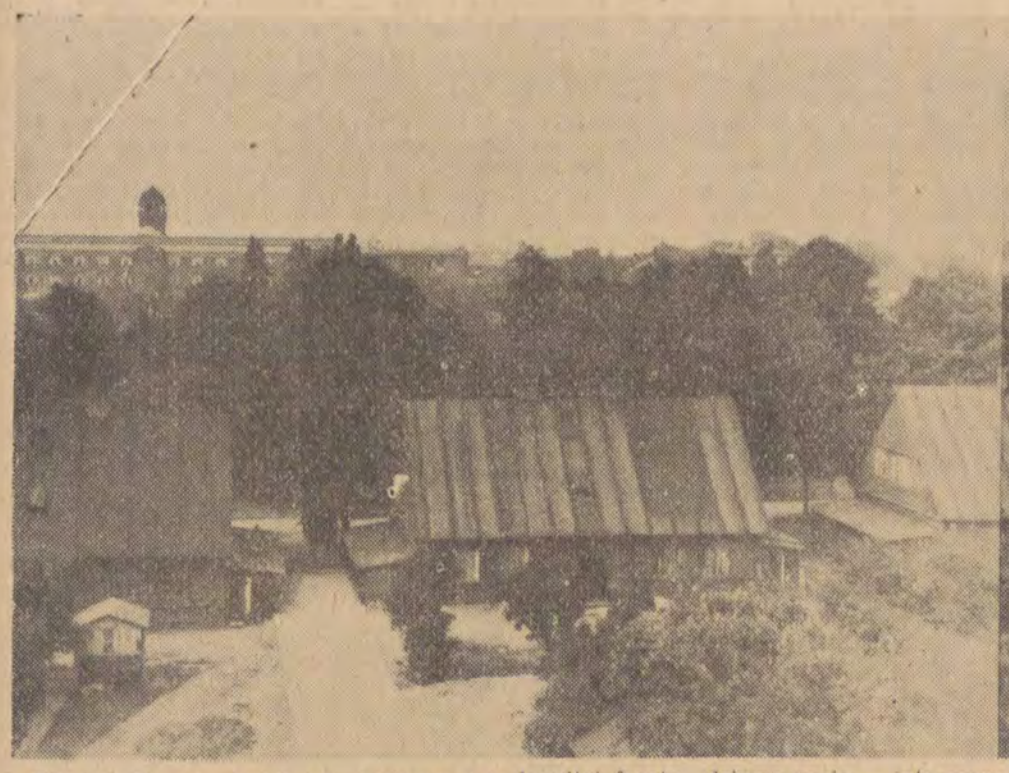

Pigułowski od dwóch lat jest na emeryturze. „Przez pierwsze dni chodziłem do pracy, rozmawiałem z kolegami, nie mogłem sobie miejsca gdzie indziej znaleźć. Wstyd mi było, ale chodziłem. A potem... Potem Pigułowski zabrał się do pracy społecznej. Teraz właśnie są skutki — przeziębienie. Na ulicy Niciarnianej i Milionowej komitety blokowe Widzewa podjęły się zasadzenia półtora tysiąca drzewek i krzewów. Wiał zimny wiosenny wiatr i nie wszystkim udało się wywinąć od grypy. Pigułowski choruje. Przepraszam, że nachodzę. Ale to ważna sprawa.

Co pan może powiedzieć w sprawie gołębi, tych, które ukradli u sąsiada?

Pigułowski przestawia na stole ampułki i jest wyraźnie zafrasowany. „Widzi pan, dawniej czegoś takiego nie bywało..."

Przychodzi do mieszkania sąsiadka, stara tkaczka, Sobaczyńska. Lat ma chyba siedemdziesiąt i parę, dochowała się wnuków. Przychodzi po radę — bo Pigułowski jest przewodniczącym komitetu blokowego. A tymczasem przewodniczący pyta Sobaczyńskiej: „A no, jak to dawniej bywało? Kradli u nas młodzi?" „Boże uchowaj, nikt nie miał czasu!" — powiada Sobaczyńska. I zaraz tłumaczy: miała dziesięć lat, kiedy z koleżankami stała koło Wimy i dyrektor Gabera powiedział: która chce zarobić, niech przyjdzie jutro do fabryki. A że w domu dzieciarni było całe mnóstwo — więc poszła. Podawała nitki na „rajgierni" za 1 rubel i 20 kopiejek na tydzień. Kiedy przychodził inspektor — wszystkich dzieciaków chowano gdzie się dało — do magazynu za bele bawełny, na strych, do ustępów. „Nikt tam na kradzieże nie patrzał złości się stara tkaczka. — każdy patrzał żeby uczciwie zarobić i wyżyć!"

Pigułowski mieszka w swoim ciasnym mieszkanku lat 66. Jego ojciec pracował na tkalni i miał sześcioro dzieci. Pan Stanisław jest właśnie najstarszym z nich. Miał zostać lekarzem lub inżynierem. Ale nie starczyło pieniędzy na wykształcenie, więc dobrnął tylko do 6-tej gimnazjalnej. Zresztą do gimnazjum było daleko, a tramwaj kosztował w jedną stronę 3 i pół kopiejki. To była prawie bułka z serdelkiem. Zaniechał więc edukacji i zaczął pracować na kolei. I wojna światowa zagnała go aż do Archangielska. Kiedy wrócił — w 1922 roku — nikt go w domu nie poznał. Dostał pracę u Kohna w biurze wypłat. Ale niedługo zagrzał tam miejsca. Okazało się, że był jednym z organizatorów strajku w biurze i po lokaucie go nie przyjęto. Tak więc w 1926 roku został na bruku. Musiał szukać pracy w mieście, poza Widzewem.

Teraz jest na emeryturze. Ba, żeby to chciał spocząć! „Tylko z domu ucieka do rady narodowej! — dogaduje z kuchni żona. — A to komitet blokowy a to komitet frontu jedności, a to znowu komitet pomocy społecznej. Chory jest, a musiał dzisiaj coś 50 podań o pomoc rozpatrzyć. Od wdów, od kobiet porzuconych."

Smutno — powiadam — żyje się wam na tym Widzewie. Ani ładnej kawiarni, czy herbaciarni...

— A po co nam? — replikuje z miejsca Pigułowski. Nas nie stać, żeby wydać na kawę i ciastka 30 złotych. Trzeba zapłacić za radio, codziennie gazetę kupić, książki jakieś, dziecku do szkoły dać. Niech pan ułoży sobie nasz budżet: ja mam 900 złotych emerytury. Żona pracuje jeszcze, już 25 rok — i zarabia jako wagowa na trzepalni 1100 do 1200 złotych. Dwa tysiące na trzy osoby — to trzeba wszystko liczyć.

Chcę jeszcze powiedzieć, że Pigułowski się zawziął: córka musi zrobić wyższe studia. Jemu się nie udało, ale Bożenka musi.

— A wracając do tych kawiarni — powiada Pigułowski — to będzie teraz herbaciarnia. Na wzór przedwojennej, PPSowskiej, w tym samym lokalu. Herbata niedroga, gazety, książki i gry przeróżne. Bilard, szachy. Będą ludzie chodzić, na pewno.

* * *

Na Widzewie bardzo kochają zieleń, gołębie i króliki. To chyba zrozumiałe: ludzie wplątani w kołowrót wielkiej machiny przemysłu starają się jakoś od niej oderwać i zbliżyć do przyrody. Chociaż w ten sposób. Nie mają wielkiego bogactwa prócz historii. Ale historią nie można żyć na co dzień. Wspominają więc tylko od czasu do czasu, jak to Lucjan Rudnicki organizował kółka marksistowskie i jak czytali konspiracyjną literaturę w mieszkaniu Leopolda Szuberta. Ale sam Leopold Szubert, niegdyś kapelmistrz orkiestry amatorskiej, stary działacz — ma dziś ponad osiemdziesiąt lat i niewiele już pamięta. Kiedyś miał dziwne pasje — interesowała go astronomia. Z dna butelki szlifował soczewki i robił teleskopy, bo ciekawiły go dalekie planety. Potem konstruował precyzyjne przyrządy. Zrobił nawet refraktor. Dziś jest wiceprezesem Łódzkiego Towarzystwa Miłośników Astronomii. Fotografie jego obserwacji zamieszczano w pismach astronomicznych.

W tym samym czasie pracował w Wimie obecny radziecki konstruktor rakiet kosmicznych Ary Sternfeld, który przyjechał do Łodzi z Sieradza. Na maszynie pożyczonej z biura napisał swoją słynną pracę o trajektoriach pocisków międzyplanetarnych.

Widzew nie tylko wychodził na pochody. Nie tylko sadził rzodkiewkę w ogródkach działkowych i debatował o wściekłych cenach w konsumie Kohna. Ale ludzie, których ambicje sięgały wysoko — odeszli. I dalej odchodzą.

* * *

Ortodoksyjni reporterzy poszukują widocznych zmian, argumentów potężnych, z żelaza, stali i koniecznie z czerwieni cegieł, jako że bloki mieszkalne bywają u nas tradycyjnie nieotynkowane. To kolosalnie ułatwia sprawę. Jest czerwień murów — jest postęp i zmiany, nie ma czerwieni — nie ma zmian. Ale kiedy się patrzy na te masywy z żelaza i cegieł — ludzie pozostają w ich cieniu malutcy i można do nich podejść na odległość wyciągnięcia tej ręki.

Na Czerwonym Widzewie nie ma czerwonych, ceglanych masywów. Powinienem zaraz za tym napisać: na Widzewie nic się nie zmieniło. Ludzie wegetują w pojedyńczych drewnianych klatkach jak za Kunitzerów i Kohnów, pomarańcze oglądają na parszywych oleodrukach w jeszcze brzydszych ramach i pośród deszczu biegają do odległej o 100 metrów od domu wygódki. Ale kiedy się ich pyta: „Słuchajcie, może przenieślibyście się na Żubardź, albo na Bałuty, macie tu przy dział na mieszkanie. Dwa pokoje z kuchnią". — odpowiedzą zawsze jednako: „Na żaden Żubardź nie pójdziemy". I bądź tu mądry, ortodoksyjny reporterze I napisz, że przebrzydłe domki Kunitzera, gdzie pokoje na pięterkach mają ściany pochyłe jak w namiocie są najlepsze na tym najlepszym ze światów. Wolterowski Pangloss po takiej odpowiedzi poczułby się na Widzewie jak u siebie w domu. Ale odeślijcie Panglossa do stu diabłów. Na Widzewie nie było bowiem od stu lat księgarni i tylko nieliczni znają wolterowskiego Kandyda.

Spotkałem go na półce bibliotecznej u towarzysza Najdera.

No — pomyślałem — ten wreszcie mi wszystko wytłumaczy. I zgadłem.

Bolesław Najder jest teraz dyrektorem Zakładów Metalowych Przemysłu Terenowego przy ul. Strzelczyka. Kiedyś był delegatem robotników Wimy razem z Michaliną Tatarkówną i Teklą Borowiakową. Potem starostą łódzkim — rzecz prosta, już po wojnie. Mieszka na ulicy, która nosi piękną nazwę „Łosiowa", i na wiosnę kopie w swoim ogródku jak wszyscy widzewiacy.

A więc, ortodoksyjny reporterze, to sprawa przywiązania zgoła metafizycznego? Nieuchwytnych sentymentów, jakie robotnicy żywią do tych zagadkowych domków i bruków? Chwileczkę. Sprawa nie przedstawia się wcale tak prosto.

W 1892 roku w Zakładach Heinzla i Kunitzera wybuchł pierwszy bunt. Ludzie wywalili bramę i domagali się utrzymania w fabryce języka ojczystego. W 1905 roku przyjechała sotnia kozaków. Robotnicy domagali się polepszenia warunków pracy. Kozacy do Niciarnianej jechali stępa, potem zawrócili i przejechali przez tłum szarżą. Padło 12 zabitych. W następnych dniach 7 osób zmarło z ran. Ale to tylko początek zmagań.

Powstaje nowy Widzew.

Po Kunitzerze nastał Kohn. Kiedyś napisano w gazecie, że carskie wojska w roku 1905 stanęły w obronie fortun przemysłowców, między innymi Kohnów. Cały Widzew rechotał, aż trzęsły się tekturowe daszki na osiedlu. Przecież tu każdy wie, że w 1905 Uszer Kohn wkuwał w Tomaszowie talmud, bo miał zostać rabinem, a jego tata starał się o koncesję na sprzedawanie braków od Kunitzera. Potem Uszer wykiwał tatę przy pomocy małego donosu do dyrekcji i sam przejął sprzedaż braków i resztek. I przy ich pomocy wszystkich akcjonariuszy Widzewskiej Manufaktury wyprowadził w pole. Tutaj znają historię, bo sami byli jej uczestnikami. To pięknie brzmi: tworzyli historię robotniczej Łodzi.

Powiedz jednak, dlaczego tutaj właśnie wykształcił się dynastyczny proletariat? Czy z własnej woli ludzie Widzewa chcieli z pokolenia na pokolenie przerabiać kohnowską bawełnę na kohnowskie pieniądze? Skądże znowu! To twarde prawa kapitalizmu, które kazały im tutaj siedzieć i klepać biedę. Wima dawała mieszkania tylko tym, którzy pracowali. Strata pracy oznaczała stratą dachu nad głową. Część zarobku wypłacano bonami do zrealizowania w fabrycznym konsumie. A w konsumie Kohn kazał sprzedawać towary najdroższe. Buty kosztowały tu dwa razy drożej, niż gdzieindziej. Były srebra, platery i kosztowne futra. Były wspaniałe obrusy i zastawy. Robotnicy kupowali więc drogi obrus, aby sprzedać go za pół ceny, bo innego wyjścia nie mieli. Dlatego też podczas strajków rozbili konsum. Walczyli z policją, wchodzili jak do siebie do pałacu starego Kohna na Targowej i młodego Maksa na Rokicińskiej, aby dopominać się o swoje prawa. Ryzykowali swoją całą egzystencję: zarobek za dwie dniówki w tygodniu i mieszkanie.

Dlatego te marne domki i kocie bruki noszą teraz dumne miano Czerwonego Widzewa. I dlatego wszyscy są do nich tak przywiązani. No i do swoich ośrodków.

U diabła, znowu wróciliśmy do Kandyda. Pangloss przecież w zakończeniu powiada: „Niech każdy uprawia swój ogródek". Widzewiacy są mądrzejsi od Woltera. Sami do tego doszli.

* * *

Byłem w szkole, przy ulicy Szpitalnej. Do kancelarii poproszono starszego chłopca, z siódmej klasy, który był rzekomo inspiratorem kradzieży gołębi. Wychowawcy jeszcze o niczym nie wiedzieli. Usiadłem razem z nimi za biurkiem, patrzyłem na ich surowe miny i czułem się bardzo niewyraźnie w tej roli prokuratora, śledzącego powietrzne i ziemne tropy widzewskich gołębi. Tadek Nowak miał jaśniutką czuprynę, był postawny i robił bardzo sympatyczne wrażenie. Nie patrzył nikomu prosto w twarz, ale zauważyłem, że ma wielkie, niebieskie i diablo inteligentne oczy.

Dlaczego tak się stało?

Tadzio Nowak powiada: „Nie mam z tym nic wspólnego. To ten mały, z drugiej klasy, który mieszka po sąsiedzku, przyniósł mi te gołębie".

— Jak to przyniósł, prosiłeś go o to? — pyta nauczycielka.

Okazuje się, że przyniósł i prosił, żeby je przechował w komórce, będą je razem hodować. Zbierali puste butelki i sprzedawali je w punkcie skupu, żeby zarobić pieniądze na pszenicę dla swoich ptaków. Nie tyle swoich, ile kradzionych, ale Tadek o tym nie wiedział. Malec co chwilę przychodził, głaskał gołębie i tulił je do siebie. Dlatego potem Gondek narzekał tak, że miały postrzępione skrzydła i były wymięte.

— Chcesz iść do szkoły kelnerskiej, kończysz siódmą klasę. Powiedz, jak było naprawdę? — nalega nauczyciel.

— Powiedziałem prawdę.

Czternastoletni blondas patrzy już teraz prosto w oczy i wiem, że wyłożył na stół całą prawdę. Nie orientuje się tylko, co powiedział ten mały wspólnik o kradzieży doskonałej. O kielichu i o „Kobrze". Chce zostać kelnerem, opuścić Widzew i pójść w wielki świat, gdzie strzelają korki od szampana i sardynki pławią się w oliwie. Ich, najmłodszych, nic już z Widzewem nie wiąże. Mają inne wyobrażenie o świecie.

Już wiesz od dawna, ortodoksyjny reporterze, dlaczego dokonano kradzieży gołębi. I wiesz, że nie popchnęła malca do tego czynu bieda, ani tradycja, ani atmosfera domu. To przecież stara teza socjologów: przestępstwa u młodocianych nasilają się tam, gdzie wzrasta dobrobyt. A więc proszę, jednak się coś na Widzewie zmieniło.

Przejdźmy jeszcze koło czerwonych murów Wimy w stronę pałacyku Maksa Kohna. Stary Kohn był starą kanalią, jego synek — honorowy konsul szwedzki, dziwkarz i automobilista — zwykłym łobuzem. Pałacyk jego — raczej willa, z kortami tenisowymi i basenem kąpielowym była do niedawna najnowocześniejszą budowlą na Widzewie. Jest tam teraz przedszkole. A tuż obok bagry robią na polach spustoszenie. Ma wyrość wreszcie na Widzewie nowe osiedle mieszkaniowe. Ze starych domków Kunitzera nie pozostanie ani śladu. Wszyscy razem przeniosą się do nowych bloków. Znikną stare domy, zatrą się wspomienia z dawnych lat.

I jakie będą dalsze losy widzewskiej dynastii proletariuszy?

JERZY ROSZKO

Zdjęcia:

EUGENIUSZ KUDAJ

Scena z „Ballady strachu"

GOŚCIE z WĘGIER

Jedną z głównych atrakcji teatralnych bieżącego sezonu zaplanowano na sam jego koniec. Atrakcją tą staną się zapewne — nie tylko ze względu na okres urlopowy w teatrach łódzkich — występy Teatru Narodowego z Pecs. Mimo kanikuły radzimy obejrzeć spektakle tego teatru, który działając w tak niewielkim mieście jak Pecs jest w ostatnich sezonach artystyczną sensacją Węgier. Nie tylko dlatego, że jego działalność jest niezwykle wszechstronna: na scenie w Pecs można oglądać dramat (w tym wiele utworów współczesnych pisarzy węgierskich) operę, operetkę, balet — Teatr Narodowy jest uważany za jedno z najnowocześniejszych ognisk sztuki.

Węgierski Teatr Narodowy przywiezie do Łodzi bardzo trafnie wybrane „Wesele Figara" — Beaumarchais i mniej znaną polskiej publiczności sztukę Eurypidesa „Medea".

Przede wszystkim jednak zachęcamy do obejrzenia znakomitych przedstawień baletowych — zjawiska u nas w Łodzi niezwykle rzadkiego, niestety, nie tylko w okresie kanikuły. Balet Teatru Narodowego z Pecs pokaże w Łodzi to, co krytycy nazywają nowoczesną sztuką baletową. W składance baletowej jaką będziemy mieli okazję przez trzy dni oglądać znajdą się utwory, które krytycy oceniają bardzo wysoko, a mianowicie „Ballada strachu" i „Wariacje na temat spotkania".

Warto jeszcze kilka słów powiedzieć o młodym zespole baletu. Stworzył go Imre Eck, znakomity tancerz, solista opery budapeszteńskiej, aby realizować swoje artystyczne plany i aby — jak mówi — pokazywać „utwory baletowe, które by żywo oddziaływały na współczesnych ludzi". Dyrekcja teatru zaangażowała po prostu cały rocznik absolwentów Państwowej Szkoły Baletowej. Primabalerina zespołu jest osiemnastoletnia Eszter Arva, której sztuka mimiki uchodzi za doskonałą. W zespole wybija się poza nią Szandor Toth — tancerz o znakomitej technice.

Gorąco zachęcamy — zobaczcie.

P. S. A oto plan występów: w dn. 15 b.m. „Medea", 16 — „Wesele Figara", w dn. od 17—19 — Balet.

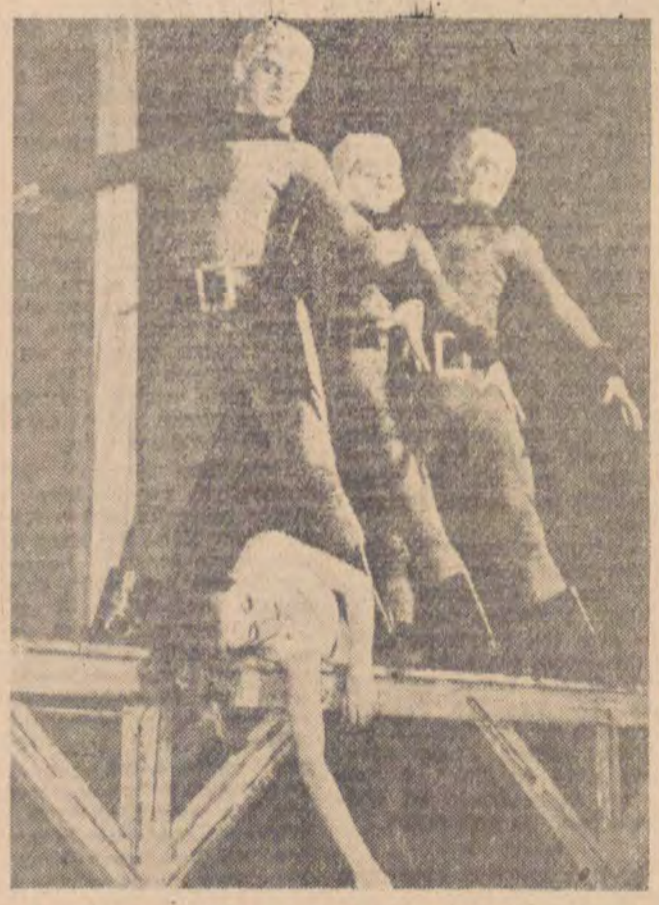

„Ballada strachu". Imre Eck, Maria Brekes, Sandor Toth i Eszter Arva

JULIAN BRYSZ

Pod rajską

Na rozległych trawnikach rozpleniły się bujnie polne kwiaty. Aromat od nich niesie się na całe osiedle.

Dwaj mężczyźni odpoczywają na ławce. Dobiega mnie fragment ich rozmowy: „Kiedy ciebie zaczynają tynkować?" — pada pytanie pod adresem sąsiada.

I w pytaniu tym, we wzruszającej prostocie utożsamienia lokatora z budynkiem, skupia się jak w soczewce całe to serdeczne zainteresowanie jakim mieszkańcy darzą swoje osiedle.

Bez wątpienia — najpiękniejsze z nowych osiedli łódzkich. Przemyślana do najdrobniejszych szczegółów, skończona koncepcja urbanistyczna i przestrzenna.

Osiedle szerokiego oddechu. Dorosła, zastana już zieleń przyjęła w siebie kolorowe bryły nowych bloków. Nie docierają tu wonie z Widzewa, barwy tynków nie gasi kurz wielkomiejskich arterii.

Ulica Sporna pnie się ku górze szeroką jezdnią, pasmami trawników i chodnikami, spiętrzonymi w tarasy.

Budowniczowie osiedla, przyciśnięci „do muru" presją władz miasta i opinii publicznej, nie pozostawili po sobie zwałów gruzu czy połamanych parkanów. Jest tak czysto i pięknie, jak wymarzył sobie projektodawca, modelując makietę w zaciszu pracowni.

Nie było demoralizujących lat czekania na wykończenie bloków. Nie skazano nowych mieszkańców na lata prowizorki nietynkowanych murów, zapuszczonych „od urodzenia" klatek schodowych, na skakanie po ułamkach cegieł przez bajora błota. Nim zdążyło zakwitnąć wrodzone niechlujstwo, osiedle powitało ich czyste, wypielęgnowane, zmusiło opornych do szacunku dla siebie.

Wprowadzić się tu — znaczyło czystymi rękami otworzyć wieżo kupioną w księgarni, pięknie ilustrowaną powieść. To moment bardzo ważny dla „rysunku psychologicznego" społeczeństwa mieszkańców osiedla Władysława Bytomskiej.

SZUKAŁEM PIJAKA...

Dokładniej — szukałem w osiedlu nałogowych alkoholików, szukałem rodzin, dotkniętych rozkładem moralnym.

I nie znalazłem...

„Był taki jeden — powiada opiekun społeczny pan H. — dostał się na osiedle „z rozbiórki", z zawodu hydraulik, pracował w prywatnej firmie. Dziś z alkoholika stał się wzorowym ojcem rodziny, spotykamy się, gdy wychodzi z dziećmi na spacer. Z jednej strony nasze wysiłki, z drugiej — atmosfera osiedla, zrobiły swoje..."

Szukałem pijaka nie dla sensacji, lecz jako klucza do sprawy. Bo pokażcie mi wielkie zbiorowisko ludzkie, gdzie nie byłoby rozbitych rodzin, pijackich awantur itd. Nie ma takiego? Chyba jednak jest — Osiedle.

By mocniej podeprzeć ten fakt z gatunku utopijnych, trzeba sięgnąć do rodowodu nowych mieszkańców ulicy Spornej i okolic.

RODOWÓD

Osiedle obecnie — to 37 bloków już zamieszkałych i kilkanaście dalszych w budowie. Dwa bloki są własnością spółdzielni mieszkaniowych, dalsze dwa należą do zakładów pracy, jeden przekazano dla wojskowych i ich rodzin.

Typowymi dla zbiorowiska będą mieszkańcy pozostałych 32 bloków, znajdujących się w administracji miejskiej, wprowadzeni tu normalną drogą „przydziału".

Trzeba od razu powiedzieć, że przydziały zostały poprzedzone wyraźną selekcją. M. in. poprzez rady zakładowe typowano do zamieszkania w osiedlu wyróżniających się pracowników. Niewielu jest tu lokatorów z tzw. „rozbiórki", którzy nowe mieszkania otrzymali tylko dzięki temu, że ich stary dom nie nadawał się dłużej do użytku. Większość mieszkańców zawdzięcza przydziały zasadzie „poprawy warunków".

Następny fakt charakterystyczny: wszystkie bloki osiedla oddano do użytku już po wprowadzeniu obowiązku kaucji i opłat za urządzenia. Nie „przecisnął się" więc tutaj nikt, kto nie potrafi właściwie gospodarować ciężko zapracowanymi pieniędzmi.

Wstępna selekcja i finansowy „dobór naturalny" dały w efekcie bardzo ciekawy typ przeciętnej rodziny osiedla. Oto znamienne cyfry: w owych 32 blokach mieszkańców jest około 3700 rodzin — 1058 dzieci w wieku od 1 do 14 lat — 1334.

Zatem, przeciętna rodzina liczy 3 lub 4 osoby, stanowi sobą małżeństwo z jednym, maksimum dwojgiem dzieci. Zazwyczaj jest to małżeństwo młode lub w średnim wieku, tak mąż jak i żona są zwykle aktywni w pracy zawodowej (czemu właśnie — jako się rzekło — najczęściej zawdzięczają mieszkanie).

Uderza więc w osiedlu nietypowa wciąż jeszcze dla całości naszego społeczeństwa ilość dzieci. Niewielu tu również ludzi w starszym wieku, pozostających na utrzymaniu rodziny.

Stąd dalsze konsekwencje w postaci najniższego bodaj w Łodzi zagęszczenia mieszkań (1.4 na izbę) i dobrych warunków materialnych mieszkańców osiedla. Jest tu 40 procent rodzin robotniczych i 60 procent rodzin inteligenckich, ale — rzecz wielce charakterystyczna — ten „podział" w zasadzie o niczym istotnym nie stanowi, obnaża tylko swoją sztuczność. Bo tutejszy zarówno inteligent jak i robotnik są ludźmi jednego pokroju. Są obaj solidnymi pracownikami, rozsądnie planują swoje rodziny, żyją z ołówkiem w ręku, dopracowują się dobrobytu. Są spokojni, „godni", przekonani o własnej wartości. Nawet poziomem umysłowym i gustami nie różnią się zbytnio — tyle może, że nad wszędobylskim telewizorem w jednym mieszkaniu wisi kiczowaty oleodruk, w innym — cepeliowski talerz. Meble są niemal wszędzie jednakowe — dość drogie, solidne, bez nowoczesnej ekstrawagancji, z podziałem na „stołowy" i „sypialnię". Wyróżniają się tylko wyposażeniem mieszkania stosunkowo licznej tu tzw. inteligencji twórczej.

W tym miejscu wypada już złączyć ze sobą obie strony medalu — nowe osiedle, od zarania niemal piękne i „wypieszczone" oraz jego mieszkańców, stanowiących sobą bezsprzecznie „nową jakość" społeczną. Strony pasują do siebie bez zastrzeżeń.

PRZYPŁYWY

Nic więc dziwnego, że od pierwszej chwili mieszkańcy zakasali rękawy i wzięli się do urządzania życia po nowemu. Szybko zawiązały się komitety domowe, które mają swoją chlubną kartę w walce o usuwanie usterek, pozostawionych przez wykonawców. Lokatorzy opodatkowali się na wiele drobiazgów — na klatkach schodowych pojawiły się kwietniki i śmietniczki, w suszarniach rozciągnięto nylonowe linki do suszenia bielizny, wejścia do piwnic, gdzie lokatorzy mają swoje komórki, opatrzono solidnymi zamkami. Każdy lokator otrzymał klucz od drzwi wejściowych do bloku. Tych kilku mieszkańców, którzy zachowywali się hałaśliwie, szybko poskromiono.

Na apel porządkowania osiedla przed ubiegłorocznym świętem 22 Lipca wyszło do pracy społecznej 420 osób. Większość balkonów przystroiła się w skrzynki z kwiatami.

Wcześniej jeszcze, jesienią 1959 roku, kiedy przedsiębiorstwo budowlane stwierdziło, że nie może doprowadzić ciepła do mieszkań, bo nie ma ludzi do wykopania rowów, lokatorzy trzech bloków przy ul. Wojska Polskiego wyszli z łopatami pewnej niedzieli i przez osiem godzin rowy wykopali.

A ostatnio, gdy córeczka pani Ch. z bloku 128 porysowała ołówkiem ściany świeżo odmalowanej klatki schodowej, matka bez wahania zobowiązała się pokryć koszty naprawy.

Jeszcze dziś, choć administracja funkcjonuje już bardzo sprawnie, komitet domowy sam zabiera się do poskramiania dozorcy. Biorą go na zebraniu w krzyżowy ogień pytań: „Dlaczego pan pije, kiedy pan ostatni raz oddał pensję żonie, czy pan wie, że na osiedlu nie używa się brzydkich wyrazów?". Chodzi o „morale" dozorcy, bo obowiązki spełnia prawidłowo.

I ODPŁYWY

Stopniowo jednak gdy minął okres pionierski, czas urządzania się, wystąpiły wśród mieszkańców silne tendencje „dezintegracji". Okres wstępny nie przyczynił się dostatecznie do zadzierzgnięcia bliższych

Mówi I sekretarz Komitetu Dzielnicowego PZPR Łódź-Bałuty – Czesław Karbowski:

Jako gospodarze dzielnicy, wspólnie z Prezydium DRN poświęcamy wiele uwagi sprawom Osiedla Władysławy Bytomskiej i jego mieszkańców. Warto wiedzieć, że pierwsi w kraju wprowadziliśmy na Bałutach zasadę tzw. „kompleksowego oddania" nowych osiedli.

Efekty mówią same za siebie. Jednak równocześnie praktyka wskazuje na szereg pomyłek ze strony architektów i urbanistów. Na tle takich spraw, jak brak miejsca na place zabaw dla dzieci, na garaże, czy pomieszczeń na pralnie, powstają teraz konflikty między mieszkańcami.

Konflikty te przeszkadzają utrwaleniu się współżycia społecznego nowej zbiorowości ludzkiej. Upłynie zapewne sporo czasu, zanim to wszystko „dotrze się". Rozumiemy te kłopoty i zapewniamy mieszkańców osiedla, że mogą zawsze liczyć na naszą pomoc w ich rozwiązaniu.

Wkrótce osiedle wzbogaci się o piękną bibliotekę, kawiarnię, obok powstanie park — to wszystko będzie jeszcze bardziej pomocne w kształtowaniu się więzi społecznej, która mimo sporadycznych konfliktów, coraz bardziej zbliża mieszkańców.

Świadczy na jej korzyść liczny udział nowych lokatorów w spotkaniach przedwyborczych, dotychczasowa dbałość o wygląd zewnętrzny osiedla, czy też powstanie dużej grupy działaczy społecznych, grających ważną rolę w życiu osiedla.

Jednak nie zawsze jeszcze ludzie umieją podporządkować swój interes osobisty — interesowi społecznemu. Oto drobny przykład: wszyscy chcą, by w alejkach osiedla były ławki, ale wielu jest takich, którym przeszkadza ławka pod ich własnym oknem.

Wasz reportaż oświetla problemy współżycia mieszkańców z najróżniejszych stron, powoduje do dyskusji. Sądzę, że w ten sposób przyczyni się on do jeszcze silniejszego ich zbliżenia, do wytworzenia zwartej społeczności.

jabłonią

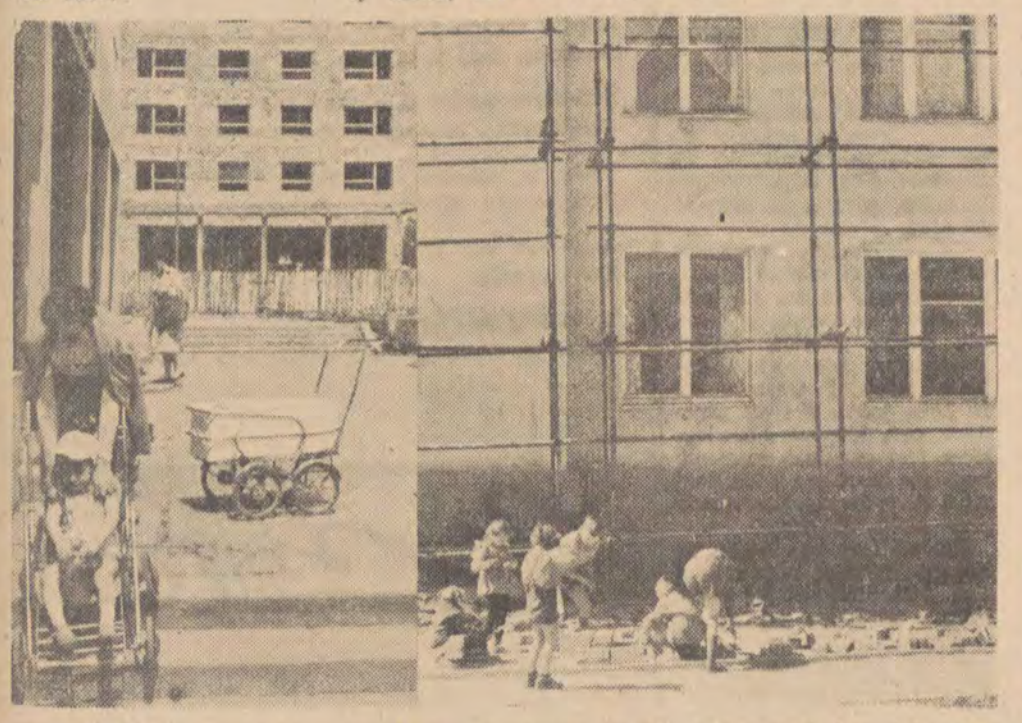

Zdjęcia: Wacław Biliński

wiązów między nowymi lokatorami.

Na przeszkodzie temu stanęło wiele czynników. Na początek — sam „charakter" osiedla.

Oto piękna, reprezentacyjna ulica Sporna nie ma w sobie nic z nastroju „familiarności", rzadko kto wybiera się tu na pogaduszkę z sąsiadem czy spacerek, mimo że ławki, że kwietniki, że tak ładnie... Nie ma tradycyjnej bramy ani tradycyjnego podwórka, które w sposób wymierny ograniczało przestrzennie środowisko mieszkańców jednej kamienicy, zwróconymi do wewnątrz oknami negliżowało a jednocześnie zbliżało ludzi. Pozwalało im czuć się „u siebie". Tu wszystko jest na przestrzał, blok za blokiem, piękne, a jednak wciąż jeszcze obce.

zwołał zebranie z mieszkańcami, zaprosił na nie kierownictwo PSS. Przyszło jednak bardzo niewielu ludzi, teraz oczywiście, dalej narzekają..."

Na tle zobojętnienia, które samo przez się nie jest jeszcze zjawiskiem „czynnie" niebezpiecznym, wystąpiły również fakty rażące. Oto lokatorzy jednego ze starych domów mieli na podwórzu komórki. Gdy wytyczono nową ulicę osiedla, komórki okazały się „figurować" na środku tej ulicy. Trzeba je teraz szybko usunąć. Administracja, mając poparcie Terenowego Komitetu Frontu Jedności, zdecydowała wzamian przydzielić komórki w bloku przy ul. Środkowej 9. Ale mieszkańcy bloku, choć w stosunku do liczby lokatorów mieli o 4 komórki za dużo, powiedzieli „veto". Oni tu nie wpuszczą nikogo obcego. Dwukrotnie zwoływano zebrania, przekonywano — bez skutku. Wreszcie odbyło się „zasiedlenie" komórek. W asyście milicji.

A w innym bloku lokatorzy bez cienia sprzeciwu zdecydowali się zamienić suszarnie bielizny na mieszkania dla mechaników — konserwatorów budynku. Te dwa fakty wymownie kon-

Paradoks, ale na niekorzyść więzi „zagrały" również w dużej mierze te cechy społeczności osiedlowej, które poprzednio określiliśmy jako bezsprzecznie dodatnie. Więc zapracowanie większości mieszkańców, brak ludzi starszych, którzy cały dzień spędzają w domu, a przez to utrwalają współżycie, zawiązują znajomości sąsiedzkie. Więc pieczołowite zabieganie wokół wyposażania własnych mieszkań — coraz to nowe „detale", zrozumiałe u ludzi na dorobku, samo przez się cenne, ale ograniczające horyzonty.

DOMY JAK ULE

Każda klatka schodowa jest osobnym ulem — mówi przewodniczący jednego z komitetów domowych, pan C. — ludzi z sąsiedniej klatki poznaję tylko wtedy, gdy przychodzą zameldować, że pralnia się zepsuła, lub przy innej, podobnej okazji..."

Pani S. jest postacią jedną z najbardziej zasłużonych dla osiedla. Jej przede wszystkim staraniom można zawdzięczać powstanie świetlicy dziecięcej w bloku przy ul. Spornej 72, w pomieszczeniu wygospodarowanym z suszarni bielizny. Mieszkańcy przygotowali lokal, TPD dało wyposażenie, przysłało też świetliczankę, która organizuje zabawy, pomaga odrabiać lekcje. Ale dzieci do świetlicy nie przychodzi zbyt wiele, w każdym razie mniej niż lokal mógłby pomieścić.

Mówi pani S.: „Ludzi niewiele obchodzi, co się dzieje w osiedlu. Teraz mogłabym załatwić urządzenie magla w niewykorzystanym magazynie sklepowym, ale nie wiem, czy warto jeszcze się starać. Ludzie narzekali na złe zaopatrzenie sklepu spożywczego, więc komitet sklepowy, do którego należe, trastują.

Próba uogólnienia kwestii współżycia mieszkańców osiedla Władysława Bytomskiej wypada zatem następująco:

Z jednej strony dostrzegamy jednolitą, afirmatywną postawę mieszkańców wobec swojego pięknego osiedla, troskę o wspólne dobro, o ład i porządek, gotowość do podejmowania czynów społecznych. To ostatnie pod warunkiem, że znajdzie się ktoś, kto pokieruje akcją.

Z drugiej strony, w sferze na poły „prywatnych" kontaktów międzyludzkich, widzimy pustkę, lukę jeszcze nie wypełnioną.

Jest jednorodna dla wszystkich mieszkańców podstawa do zadzierzgnięcia się więzi społecznej, ale sama więź stanowi jeszcze sprawę dalekiej przyszłości.

Przyrównałbym mieszkańców osiedla do pasażerów transatlantyku. Spotkali się przypadkowo, mają świadomość tego, że spędzą ze sobą pewien dłuższy okres czasu. Są sobie wzajem życzliwi, bo wszystkie konflikty z dawnym otoczeniem pozostały na lądzie". Wiedzą, że od wspólnych wysiłków zależy, jak przyjemnie przebiegnie podróż, w poczuciu odpowiedzialności wobec siebie i współpasażerów dbają o bezpieczeństwo „statku". Ale wieczorami bez żalu pozostawiają towarzyszy podróży, by skryć się w swoich „kajutach".

WŁAŚCIWI GOSPODARZE

W ciągu trzech już lat, które upłynęły od powstania pierwszych bloków osiedla wykształciła się tu bardzo żywotna grupa działaczy społecznych. Im należy zawdzięczać utrwalenie zasad współżycia, wprowadzenie ładu i porządku.

Kreśląc sylwetkę osiedla przytoczyłem wiele przykładów owocnej działalności społeczników, skupionych w komitetach domowych, w komitecie blokowym, komórce TPD, czy w komitecie Frontu Jedności.

Dziś wielu z nich zatraciło swoją aktywność. Trudno się dziwić — minął okres początkowy, nastąpiła stabilizacja. Inni są zniechęceni obojętnością współmieszkańców. Grupa aktywu wyraźnie zmalała.

Zarówno z czynnymi do dziś jak i z „byłymi" działaczami, chciałbym podzielić się pewnym spostrzeżeniem.

Warto sobie chyba uświadomić, że mimo piętrzących się trudności właśnie nowe osiedle stwarza społecznikom najlepsze pole działania. A załatwienie każdej sprawy, przynosi obok korzyści doraźnych, także zrazu może niewidoczne skutki wychowawcze.

Nie gdzie indziej, lecz właśnie tu, społecznik może czuć się rzeczywistym gospodarzem. I to nie tylko placów zabaw dziecięcych. Dlatego chyba nie warto jednak przedwcześnie się zniechęcać.

Odwiedziłem przewodniczącego komitetu Frontu Jedności w osiedlu — pana I. Potem wybierałem się do innych mieszkańców. Pan I. czuł się w obowiązku pilotować mnie do wszystkich, pomagać w nawiązaniu kontaktów, wyjaśniać sporne problemy. Taka właśnie jest postawa gospodarza.

KONTRASTY ŚWIATÓW

Przewodniczący komitetu domowego starego budynku przy ul. Reja 9 widzi jak dzieci z nowego bloku naprzeciwko celują kamieniami w rynnę. Sypie się tynk. Więc przewodniczący wychodzi, łapie prowodyrów zabawy i prowadzi do rodziców.

Oto ciekawy przyczynek do obrazu współżycia dwóch światów na osiedlu Władysławy Bytomskiej. Bo kolorowymi blokami sprytnie pozaznaczano około 150 małych domków prywatnych i ponad 60 typowych dla przedmieścia, lichych, niewielkich czynszówek.

W czynszówkach gnieździ się jeszcze blisko 550 rodzin. O ile zagęszczenie w blokach jest chyba najniższe w Łodzi, o tyle w starych domach na osiedlu — bodaj najwyższe (2,3 osoby na izbę). Jeszcze wielu z tych ludzi cierpi biedę.

Osiedle jest dla nich symbolem nadziei. Od mieszkańców bloków przejęli już wiele dobrych cech. Wychodząc z domu baczą, by ubrać się schludnie, porządkują swoje mizerne ogródki, przyozdabiają kwiatami żałosne frontony czynszówek, malują okna.

I czekają. Podobno nawet cierpliwsi są, niż lokatorzy osiedla. „Zawsze zrozumieją, kiedy się im tłumaczy, że nie ma pieniędzy na remont — powiada administrator — a mieszkańcy bloków nie chcą rozumieć, oni muszą mieć..."

„Starzy" zapatrzeni są w „blokowych", w ich poziom materialny, ich sposób życia, spokojne obyczaje. „Blokowi" raczej tamtych nie dostrzegają.

Kiedy więc spoglądam na kontrasty obu tych światów, doznaję niesłusznej może, lecz wyraźnej obawy, czy aby dobrobyt mieszkańców bloków nie niesie jednak ze sobą trwałych znamion separacji i egoizmu?

JULIAN BRYSZ

Barbara Horawianka (Hanako) i Michał Pawlicki (cesarz Sandzo III) Foto. G. Puciato

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

„SPRAWIEDLIWOŚĆ w KIOTO"

CZŁOWIEK HOŁDUJE CHĘTNIEJ DOBRU NIŻLI ZŁU, ten cytat z brechtowskiej „Opery za trzy grosze" przywoływany jest tu nie nadaremnie. W debiucie scenicznym Władysława Orłowskiego jest bowiem coś z atmosfery przypowieści Brechta. Nie tylko zresztą z atmosfery. Środki tamtego teatru zaciążyły w sposób widoczny nad tekstem „Sprawiedliwości w Kioto". Nie ma w tym nic dziwnego czy zawstydzającego, tradycja Brechta będzie zapewne owocować przez wiele lat. Nie o środki zresztą chodzi. Przypowieść — a „Sprawiedliwość w Kioto" jest właśnie przypowieścią — rodzi się zawsze w specyficznej atmosferze, w klimacie przemilczeń i niedopowiedzeń. Oczywiście, „Kaukaskie kredowe koło" czy „Dobrego człowieka z Seczuanu" można grać zawsze i wszędzie. Ale nie zawsze i nie wszędzie metafora będzie wykładem prawd przemilczanych choć oczywistych. „Sprawiedliwość w Kioto" została napisana w klimacie, raczej nie sprzyjającym przypowieściom. Wprowadzono ją na scenę za późno lub za wcześnie. Ale też to, co ma do powiedzenia Orłowski, jakże różni się od tego co chcieli powiedzieć autorzy przypowieści, inscenizowanych kilka lat temu. Tamci próbowali wykreślić granice między dobrem a złem, między sprawiedliwością a niesprawiedliwością. Orłowski nie podejmie tej próby, nie interesuje go także ów brechtowski konflikt między dobrem a złem w człowieku. „Sprawiedliwość w Kioto" jest, w gruncie rzeczy sztuką bez konfliktu. Jakież bowiem konflikty mogą zachodzić w mechanizmie tak sprawnym i precyzyjnym, jak ten, który prezentuje Orłowski?

Trzej biedni rybacy z prowincji Mutsu przybywają do pałacu cesarza. Gubernator zabrał im łodzie i sieci, w rodzinnej wiosce pozostawili głodujące dzieci. Tak zaczyna się sztuka. Rybacy będą dochodzić sprawiedliwości. Teren jest znany, także z naszych codziennych doświadczeń, teraz możemy jeszcze otrzymać wszystko. Opowieść o zgubnych słabościach władzy albo satyrę, ośmieszającą władzę. Tragedia ludzi, zmuszonych do orzekania o tym, co jest a co nie jest sprawiedliwe albo tragedię ludzi, zmuszonych do poddania się niesprawiedliwym wyrokom. „Łaźnię" albo „Święto Winkelrieda". Wszystko, poza próbą rekonstrukcji. Autora — co łatwo przewidzieć — nie interesuje bowiem ani koloryt postaci ani klimat obyczajowy.

Ale oto zaczynają się po kolei podnosić wewnętrzne kurtyny małej scenki i sprawa się wyjaśnia. Trzej rybacy robią co prawda wszystko, aby obudzić nasze współczucie, drżą ze strachu, są na przemian uniżeni i bezczelni, a przy tym bezradni i naiwni.

Los tych trzech biedaków będzie nam przecież obojętny. Tak jak był obojętny autorowi. Nie o nich tu chodzi, być może, odzyskają swoje sieci, być może, pójdą z torbami. Zadają sprawiedliwości, są więc przede wszystkim śmieszni, tylko śmieszni. Mechanizm wymiaru sprawiedliwości jest przed nimi ukryty, w swojej wędrówce przez sale pałacu spotykać się będą z pozorami łaski i z pozorami niechęci, nie wiedzą, że w tej grze, której stali się przyczyną, nie chodzi o sprawiedliwość, bo chodzi o rzecz ważniejszą, o władzę. I nie chodzi o tron, o fotel, o miejsce za biurkiem, o posadkę ciepłą a zaszczytną. Sprawiedliwość w Kioto jest fikcją, sprawiedliwości powiada Orłowski, nie ma. Albo inaczej: o sprawiedliwości nie warto mówić bo to, co wydaje się być sprawiedliwością, jest tylko grą sił. Mówmy przeto o czym innym, np. o owej grze sił. O tym, kto rządzi i za jaką cenę rządzi. A to, jak rządzi, to już jego sprawa.

I tak problematyka sprawiedliwości zostaje zastąpiona techniczną problematyką władzy. To pominięcie kwestii, w grucie rzeczy, najistotniejszej, jest, jak sądzę, największym sukcesem autora. Świadczy nie tylko o ostrości spojrzenia. W tym milczącym założeniu, że sprawa rybaków jest, tak czy inaczej przegrana, jest bowiem owa dozą goryczy i okrucieństwa, bez której nie obywa się sztuka prawdziwie współczesna.

Jeśli o coś można mieć pretensję do Orłowskiego, to o to, że powiedział zbyt wiele. Pisał przypowieść, nie chciał mówić wprost, miał więc coś — to logiczne — do przemilczenia. Ale powiedział wszystko. Wszystko, a więc właśnie zbyt wiele. Wyjaśnił wszystkie motywy działań, pokazał wszystkie sprężynki, ujawnił mechanizm precyzyjny choć niezbyt skomplikowany. Nie zostawił marginesu, który widz sam mógłby zapełnić. „Sprawiedliwość w Kioto" jest jednoznaczna, metafora wykłada się tylko tak, jak chciał tego autor.

Ludwik Benoit, który sztukę reżyserował, wprowadzając system kurtynek i jedną, ostrą kreskę zaznaczając zarys postaci, rzecz całą uczynił jeszcze bardziej jednoznaczną. Było w tym spektaklu coś z teatru marionetek, co przypowieści wyszłoby na dobre, gdyby nie owa chęć wyjaśniania wszystkiego i do końca. Marionetki też mogą być wieloznaczne, tymczasem bohaterowie „Sprawiedliwości" sprowadzeni zostali do kilku — jeśli nie do jednego — motywu działania. Siogun (Wojciech Pilarski), jakże wiele zapowiadający znakomicie pomyślana sylwetką i kostiumem, był tylko okrutnym wodzem, Taira (Emil Karewicz) — tylko przebiegłym karierowiczem, i jedynie Michał Pawlicki (Sandzo III) do końca nie wiedział kim ma być i dlaczego obsadzono go w tej roli.

Państwowy Teatr Nowy. Władysław Orłowski „Sprawiedliwość w Kioto". Inscenizacja i reżyseria Ludwik Benoit. Scenografia Iwona Zaborowska.

CUKIER może być słodki (III)

OD HAWANY PO GÓRY SIERRA MAESTRA

Zapinałem właśnie spinki u koszuli do smokinga, kiedy rozdźwięczał się telefon w moim pokoju na 14 piętrze w hotelu Nacional.

Poznałem głos Jaime Bofila, łącznika Fidela Castro z organizacją podziemną Hawany.

— Co się stało?

— Muszę widzieć się z panem natychmiast. Proszę przyjść do restauracji „23".

— Po pierwsze, jestem już w wieczorowym stroju, po drugie, umówiony z kobietą, po trzecie...

— Niech pan się usprawiedliwi, nasze spotkanie jest ważniejsze.

— O key, Jaime. Przychodzę.

Restauracja „23" znajdowała się przy Calle 23. Niebo nad Hawaną było nieskazitelnie czyste. Słońce zbliżało się do horyzontu, czerwone jak pomarańcza z reklamowego plakatu United Fruit Company, wielkiego amerykańskiego monopolu owocowego, silniejszego od wielu rządów Środkowej i Południowej Ameryki. Piękne miasto, niebezpieczne miasto Hawana w kwietniu roku 1957.

INWAZJA OSIEMDZIESIĘCIU DWÓCH

2 grudnia 1956 r. Fidel Castro wraz z 82 partyzantami wylądował na Kubie z niewielkim opóźnieniem. Sześćdziesięciu ludzi zginęło w pierwszych walkach. Pozostali prowadzili w lasach i w górach Sierra Maestra bezlitosną walkę przeciw rządom Batisty.

Walki toczyły się nie tylko w górach. Także tu, za błyszczącą fasadą stolicy ostro strzelano. Nie było dnia bez wypadków, bomb, aresztowań. Organizacja podziemna działała. I ja też. Narażałem swój paszport, wolność i życie jeszcze bardziej niż w Meksyku. Potrzebowałem dolarów, ale przede wszystkim coraz bardziej sympatyzowałem z brodatymi wojownikami o wolność. Poza tym denerwowało mnie zachowanie rządu w Waszyngtonie. Tamtejsi ludzie usztywniali kark Batiście, mimo, że jego krwawy terror wołał o pomstę do nieba. Niejednokrotnie zapytywałem się, czemu nasi politycy w wypadku Batisty wyrzucili za burtę swe demokratyczne hasła. I wciąż dochodziłem do tego samego wniosku: PIENIĄDZE.

Nasi bossowie przemysłu i bankierzy zainwestowali w gorącą wyspę wiele dolarów. Większość plantacji tytoniu i trzciny cukrowej należała do nich. A Batista pozwalał im gospodarzyć, przymykał oczy, wiedząc, że wypłacają robotnikom rolnym głodowe pensje. Grunt, że rosło jego prywatne konto...

BAZOOKA I CZŁOWIEK BEZ PAZNOKCI

Restauracja „23" była jeszcze prawie pusta. Mimo przytłumionego oświetlenia dostrzegłem od razu trzech mężczyzn przy barze.

— Halo, Jack — zawołał Jaime Bofila. — Obaj senores palą się pana poznać. To jest Armando Hart. A to Juan.

Armando miał mądre, brązowe oczy i chorobliwie żółtą cerę. Był kierownikiem podziemnej organizacji Fidela w Hawanie. Policja Batisty wyznaczyła nagrodę 5.000 peso za jego schwytanie. A jednak siedział spokojnie przy barze. Nienawiść do Batisty była już tak duża, że nie potrzebował obawiać się zdrady. Poza tym odważny i mądry. Dowiódł tego później jako minister oświaty nowej Kuby.

Juan był młodym człowiekiem ze starą twarzą. Niezręcznie usiłował ukryć dłonie. Jego palce nie miały paznokci.

Jaime dostrzegł moje spojrzenie i powiedział:

— Juan przesłuchiwany był przez SIM. Jego brata rozstrzelano, a ojcu wykłuli oczy.

— Czy SIM jest rzeczywiście taka zła?

— Jeszcze gorsza — powiedział Armando. — Batista zdobywa sobie kamratów i oprawców wśród przestępców. Są między nimi nawet dawni mordercy. Do końca życia nie zapomnę krzyków torturowanych.

— Pan też był więźniem?

Przytaknął.

— Rzucali się na nas, wyrywali paznokcie, łamali ręce i nogi... To ich zwykłe metody. Byłbym dziś już kaleką, gdyby nasi nie uwolnili mnie.

— Morderców spotka kiedyś sprawiedliwa kara — powiedział Juan głuchym głosem.

— Wówczas w Ameryce będą ronić krokodyle łzy nad tymi bestiami — oświadczył gorzko Armando. — A dla tych świń nawet rozstrzelanie jest zbyt łagodną karą. Mojej żonie podali na tacy wydłubane źrenice jej brata, krótko przed naszym ślubem.

Milczałem.

Po chwili Armando zapytał:

— Czy pan zna się na nowoczesnej broni?

— Tak.

— Czy bazookę też pan zna?

— Też.

— No to idziemy. Trzeba wypróbować jedną taką zabawkę...

Koszary z czasów Batisty w Santiago na Kubie przerabiane są obecnie na szkołę.
Foto: CAF

ZA TORTUROWANYCH I ZA MĘCZONYCH

Wstąpiliśmy na przedmieścia do José Antonio Echevarria, drugiego kierownika sił Castro w Hawanie. Opisałem tam pokrótce działanie rusznicy przeciwpancernej, zdolnej przebić 11-calowy pancerz i wyjechaliśmy drogą w kierunku na Matanzas. Po ulicach krążyły patrole SIM. Jedno podniesienie ręki do góry z ich strony i po znalezieniu rusznicy ostatnim słowem, które dotarłoby do nas, byłoby: Paredón! Pod ścianę...

Skręciliśmy w polną drogę i zatrzymaliśmy się na wzgórzu pełnym zarośli. Świecił księżyc, a ja w lakierkach i smokingu wypatrywałem dogodnego celu.

— Może to drzewo tam w dali? — podpowiadał Armando.

— Za daleko.

— To w tę skałę naprzeciwko...

— Chwileczkę...

Znalazłem cel. Z Hawany zbliżał się w naszym kierunku wóz z charakterystycznymi światłami tajnej policji.

— Kryć się!

Podskoczyłem do przydrożnego rowu. Podniosłem bazookę do ramienia i przytuliłem oko do celownika. Niespokojnie tańczące reflektory miałem przed sobą jak na dłoni. Jeszcze 500 metrów... 300... 200... Pomyślałem o zmasakrowanych palcach Juana, zabitych oczach szwagra Armando, krzykach torturowanych...

Mały płomyczek wyskoczył do tyłu, większy poleciał do przodu. Reflektory przygasły, rozległ się huk, samochód przemienił się w palący wrak.

— Dios — szepnął Armando.

— Wspaniała broń — powiedział Jaime.

MIAŁA NA IMIĘ YVONNE

W hallu hotelu ujrzałem piękną kobietę, której suknia coctailowa ze srebrnej lamy mniej zakrywała niż odkrywała. Nogi à la Marlena Dietrich, góra a la Marylin Monroe.

Odważyłem się. Zapoznaliśmy się. Przy stoliku dowiedziałem się, że ma na imię Yvonne i że pracuje w kasynie hotelu Riviera. Byłem zaskoczony, tak piękna kobieta pracuje? Okazało się że była jedną z tych pięknych pań, których obowiązkiem jest osładzać rozmową bogatym turystom z Kalifornii i Florydy wysokie straty przy stolikach gry...

Umówiliśmy się. Nagle na twarzy Yvonne zobaczyłem cień. Podążyłem za jej wzrokiem i ujrzałem mężczyznę w tropikalnym fraku. Poznałem go natychmiast. Bill Tenner, najlepszy gracz pokerowy między Frisco i Miami. Nie odchodził nigdy od stolika bez kilku tysięcy dolarów. Z tego żył, i to nieźle.

— Halo Jack! Nie widzieliśmy się już wieczność. Cieszę się, że dotrzymujesz towarzystwa mojej żonie...

— Twojej żonie?...

— Tak, Yvonne i ja jesteśmy już rok po ślubie.

— Gratuluję — oświadczyłem bez zachwytu. Byłem przekonany, że Yvonne w tej sytuacji nie przyjdzie na spotkanie. Bill nie lubił bardziej sprytnych od siebie...

ZEMSTA TAJNEJ POLICJI

Przyszła o 2-ej. Była to długa noc. Nad ranem odwoziłem ją taksówką do domu. Przejeżdżaliśmy przed ambasadą amerykańską. Nagle dostrzegłem przy murze dwie dziwnie skurczone postacie. Minęliśmy je wolno. Obie były podziurawione kulami jak sita, ręce miały powyłamywane. Krew na bruku, na ubraniach, na twarzach...

Yvonne przycisnęła się do mnie.

I oto poznałem jedną z postaci. To był Juan, mój wczorajszy towarzysz bez paznokci...

Biedny Juan. Nigdy już nie wykorzysta wiadomości o strzelaniu z rusznic, nie pomści ani brata, ani ojca. Zimny pot wystąpił mi na czoło. Czyżby była to odpowiedź tajnej policji na naszą wczorajszą akcję...

Około dziesiątej zadzwonił telefon. Jaime.

— Czy pan już wie?
— Tak.
— Milczał do końca.
— Skąd pan wie?
— Mam swoich ludzi.
— Także u nich?
— Wszędzie.

WŚRÓD WROGÓW I SWOICH

Przekonałem się o tym kilka dni później. Umówiliśmy się z Jaimem w... gmachu radia i telewizji. Przed budynkiem... pełno wozów policyjnych, wszystkie przejścia patrolowane przez umundurowanych i cywilów. Krytyczna sytuacja.

— Tylko się nie bać — oświadczył Jaime. — Minister Garcia Montez przyjechał wygłosić mowę telewizyjną. To jego zwykła obstawa. My idziemy do restauracji dla smakoszów...

Z niewinnymi minami przeszliśmy obok policjanta. W lokalu prawie wszystkie stoliki były zajęte. Poznałem wielu znanych ludzi: artystów, profesorów uniwersytetu, kupców, właścicieli plantacji. Większość miała czarno-czerwone opaski z białą liczbą „26" — oznaką Ruchu 22 Lipca.

Zaniemówiłem.

— A policja?

— Nie będzie nam przeszkadzać. To doroczne spotkanie zamkniętego grona. Związku Wolnych Kupców. Wstęp tylko dla członków i gości.

Pokiwałem z niedowierzaniem głową. Podziwiałem odwagę spiskowców. Na ulicy stały wozy SIM, a tu około stu sympatyków Fidela manifestowało swe uczucia. Wystarczyłoby jedno zawołanie przez okno i nastąpiłaby likwidacji organizacji podziemnej w Hawanie...

Przy barze stał młodzieniec w okularach z grubą rogową oprawą.

— Tavi Montez — przedstawił go Jaime. — Bratanek ministra. Tavi i wuj nie wyznają tych samych poglądów politycznych. No, co tam mówił wujaszek?

— Zwykłe świństwa... Jak dobrze nam pod rządami Batisty. Dzielna policja, która dba o porządek i spokój. Bezbożni bandyci Castro, walczący z ładem. Bliskie

---

JERZY WALEŃCZYK

To chyba wszystko

Ta karta jes niebieska. A łza, to tylko łza.
Potrzebna dyscyplina. Skulony w kącie strach.

Więc czym jest miłość, powiedz! Czcicielu teorii,
Brzęczeniem trzmiela. Upór o szybę niech zadzwoni.

Szyba ma znaczenie. Trzmiel wśród kwiatów hiacyntu.
Nazwa jest zastępcza, aby nie wyliczać.

Zrobimy to powtórnie, co już raz zrobiliśmy?
Zaskoczenie jest naszym cenionym pokarmem.

Czym jest chwila uniesień? Oto ocalenie.
Łza rozcieńczy atrament. Więc obwiniam chemię.

Między majem i majem, czego nie można znaleźć?
Zapewne, maj potrzebny. Ma wartość dotyku.

Skóra potwierdza tezę. Teza bez skóry czym jest?
Nekrologiem pachnącym bez trumny, bez orszaku.

Tęsknota zaćwierkalą. Oto gość niezbędny.
Pożegna nas, Magdusiu, powtarzam, pożegna.

Uniesiona bez żaru. Umiejętność uniesień,
Żar nielitośćwy, żar zaplanowany.

Zostanie jedna para oczu rąk i nóg
Podmioty eksperymentu biegnącego maja.

Dziecko

Rtęć szepcze. To pokuta. Jakie słychać żale?
Ojciec żyje dla innych. Lata, dzień, sekundę.
Kim są dzieci, ambicją, strachem, naszym majem?
Krew płynie, woła, zamieszkała na zawsze,
Przycupnięta w kącie, prowadząca dialog
Z klockiem, bólem lalki, misia nieuwagą,
Z pięknem szmatki barwnej, z grzechotem kasztana,
Kiedy stygną dorośli. Można ich naprawić,
Odesłać do kliniki, niech ponownie płaczą.
Zdobyli lub czekają. Spodziewać się, starzeć,
Odczytać to, co dla nas i być jeszcze trochę,
Widzieć i dążyć, pożądać spokoju.
Pamięć usiłowań, zaniedbane szczątki,
Opłakane kariery, tyś winna wszystkiemu.
Bać się przyznać, zaprzeczyć, umacniać się w chłodzie,
Stać przy oknie i patrzyć. Dzieci osądzają
Obojętność i wróbla.

Mali barbarzyńcy
Na niewinnych wyprawaci
Do kraju histerii
Powrócą z łupami,
Obojętnością, wzgardą.

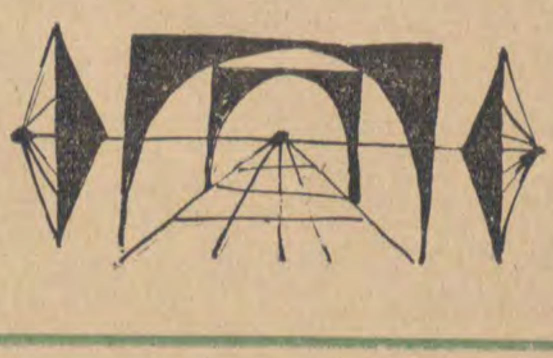

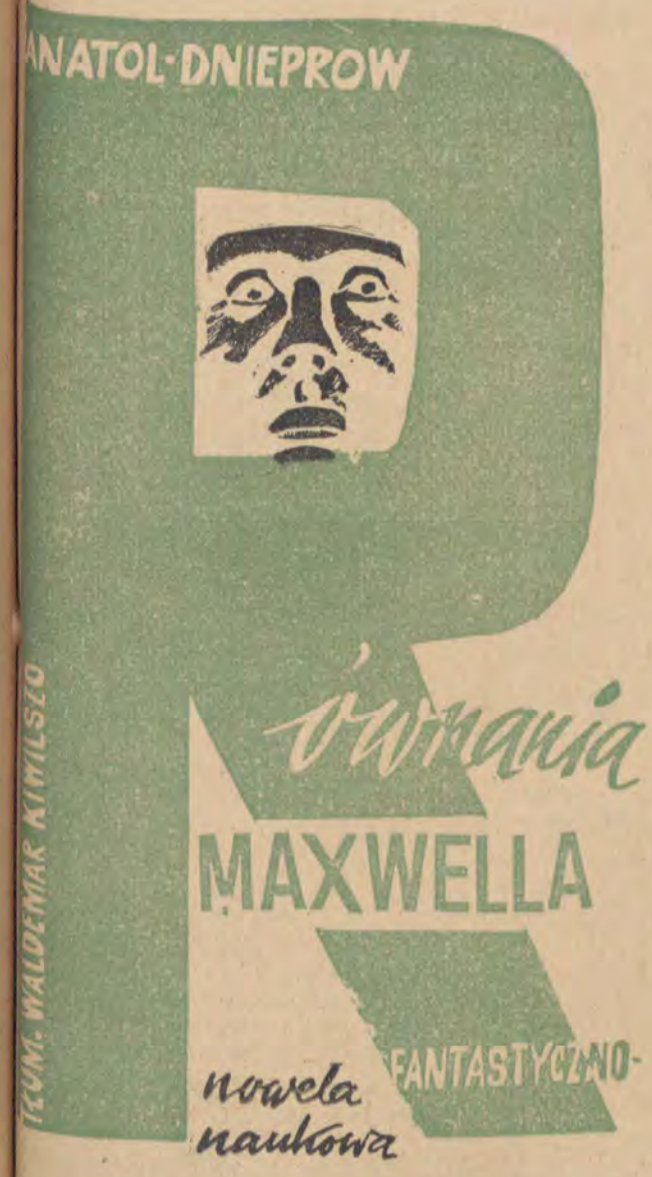

WALDEMAR KWIELSKO

STRESZCZENIE

Wybitny matematyk, profesor Rauch zostaje schwytany przez zbrodniarzy wojennych, Kraftstudta i spółkę, którzy zorganizowali ośrodek zatrudniający ludzi o wyraźnych zdolnościach matematycznych. W oczach świata profesor Rauch ucho dzi za zmarłego (w wypadku samochodowym); jego zdjęcie w żałobnych ramkach umieściły gazety. Zbrodniarze proponują profesorowi współpracę. Prof. Rauch odmawia, w następstwie czego zostaje poddany badaniom które mają określić jaki jest kod sygnałów dla ustroju nerwowego profesora.

„Zaczyna się — pomyślał profesor Rauch — żeby tylko wytrzymać..."

Musisz..." — powtarzała jeszcze, jak się zdawało, komórka mojej świadomości, której jakimś cudem nie mogły dosięgnąć te wszechwładne impulsy elektromagnetyczne wyczyniające z moim ustrojem nerwowym wszystko, co zechcieli oprawcy z towarzystwa Kraftstudta. Później, gdy dowiedziałem się o istnieniu ośrodkowo-mózgowej teorii myślenia, zgodnie z którą sam proces myślenia, wszystkie komórki kory mózgowej są podporządkowane w swoim działaniu jednej centralnej, sterującej grupie komórek, pojąłem, że ta najwyższa władza psychiczna jest niedosiężna nawet dla najsilniejszych fizycznych i chemicznych środków oddziaływania z zewnątrz. Widocznie, to ona właśnie przyniosła mi ratunek. Gdy doktor zwrócił się do mnie z rozkazem:

— Będzie pan współpracował z Kraftstudtem.

Odpowiedziałem mu:

— Nie.

— Będzie pan wykonywał każde polecenie.

— Nie.

— Proszę uderzyć głową o ściankę kabiny.

— Nie.

— Idziemy dalej. Proszę zwrócić uwagę, Pfaff — facet jest całkiem normalny. Ale to nic, dobierzemy się i do niego.

Zacząłem symulować utratę woli przy częstotliwości, która wywoływała faktyczne poczucie nieprzeciętnej siły woli. Poczułem, że gotów jestem na wszystko, mogę zdobyć się na każdy czyn. W owej chwili byłem pełen mocy psychicznej, która mogła mi pozwolić na czyny szaleńczej odwagi.

Sprawdzając moje odchylenia od „normy" spektralnej, doktor zatrzymał się i na tej częstotliwości.

— Gdyby zaszła potrzeba oddania życia dla szczęścia innych ludzi, czy uczyni pan to?

— Po co? — spytałem leniwym głosem.

— Czy zdobyłby się pan na samobójstwo?

— Zdobyłbym się.

— Czy miałby pan chęć zabić przestępcę wojennego obersturmführera Kraftstudta?

— Po co?

— Czy będzie pan współpracował z nami?

— Będę.

— Licho wie, co to jest. Z takim przypadkiem spotykam się z pewnością, pierwszy i ostatni raz. Przy częstotliwości sto osiemdziesiąt pięć — utrata woli. Proszę zanotować. Idziemy dalej.

To „dalej" trwało jeszcze z pół godziny. Po tym wszystkim, spektrum częstotliwości mojego ustroju nerwowego było gotowe. Teraz doktor „znał" już wszystkie częstotliwości, za pomocą których można było wywołać u mnie dowolne uczucie czy stan psychiczny. W każdym razie był przekonany, że zna. W rzeczywistości odpowiadała prawdzie tylko ta częstotliwość, która symulowała moje zdolności matematyczne. Ale to również i mnie dogadzało jak najbardziej. Sęk w tym, że obmyśliłem plan, co uczynić, by zbrodniczą firmę Kraftstudta wysadzić w powietrze. W realizacji tego planu matematyka miała odegrać niepoślednią rolę.

Wiadomo, że hipnozie i sugestii poddają się najłatwiej ludzie słabej woli. Tę właśnie okoliczność wykorzystał personel ośrodka obliczeniowego Kraftstudta. Posłużono się nią w tak zwanym „wychowaniu" swoich matematyków w duchu pokory i uległej bojaźni wobec „nauczyciela".

Ja również miałem przejść kurs wychowaia, ale z racji mego „anormalnego" spektrum ludzie Kraftstudta nie mogli przystąpić do tego natychmiast. Wymagałem podejścia indywidualnego.

W czasie, gdy szykowano dla mnie, gdzieś tam, specjalne miejsce do pracy, korzystałem ze względnej swobody poruszania się. Pozwolono mi na wychodzenie z sali, gdzieśmy mieszkali, na korytarz i zaglądałem nawet do klas, w których uczyli się i pracowali moi koledzy.

Nie mogłem brać udziału w grupowych modlitwach, które odbywał się między ścianami olbrzymiego aluminiowego kondensatora, gdzie wszystkie ofiary Kraftstudta co dzień rano przez równe trzydzieści minut głosiły chwałę szefa firmy.

Pozbawieni woli i wyobraźni tępo powtarzali słowa, które ktoś podawał im przez radio.

— Radość życia i szczęście, to poznanie samego siebie — mówił głos z głośnika.

— Radość życia i szczęście, to poznanie samego siebie — powtarzało chórem dwunastu klęczących mężczyzn, których wola była zdławiona przebiegającym miedzy ścianami zmiennym polem elektrycznym.

—O jak wspaniale, gdy się wie, że wszystko jest tak proste! Jakaż to rozkosz mieć świadomość, że miłość, lęk, ból, nienawiść, głód, tęsknota, radość — to nic innego, jak przebieg impulsów elektrotechemicznych w naszym organiźmie!

—...w naszym organiźmie...

— Posiadłszy tajemnicę obiegu impulsów w obwodach włókien nerwowych poznajemy, co to jest szczęście i radość życia.

— ...szczęście i radość życia — powtarzał chór głosów.

— O jakże biedni są ludzie, którzy nie posiedli tej wielkiej prawdy!

— ...tej wielkiej prawdy... — powtarzali tępo pozbawieni woli ludzie.

— To on, nasz nauczyciel i zbawca, pan Kraftstudt obdarzył nas tym szczęściem!

— ...szczęściem...

— Dał nam życie.

— Dał nam życie.

— Odkrył przed nami najprostsze prawdy o nas samych. Oby żył wiecznie nasz nauczyciel i zbawca!

Słuchałem tej potwornej modlitwy, zaglądając przez przez szklane drzwi klasy.

Wycieńczeni ludzie o półprzymkniętych powiekach tępo i apatycznie powtarzali bzdurne sentencje. Generator elektryczny, znajdujący się o dziesięć kroków od nich, narzucał gwałtem ich świadomości niezdolnej do jakiegokolwiek sprzeciwu, pokorę i lęk. Było w tym coś nieludzkiego, obrzydliwego do ostatnich granic, bydlęcego a równocześnie coś niezmiernie okrutnego. Gdy się patrzało na żałosny tłumek istot ludzkich, pozbawionych woli, w wyobraźni stawały mimowiednie obrazy ludzi zamroczonych do nieprzytomności wódką czy narkotykami...

Po modlitwie dwanaście ofiar Kraftstudta przechodziło do przestronnej sali, gdzie wzdłuż ścian stały biurka. Nad każdym z nich zwisała spod sufitu okrągła aluminiowa płyta stanowiąca cześć gigantycznego kondesatora. Druga płyta znajdowała się prawdopodobnie w podłodze.

Ta sala z aluminiowymi parasolami nad biurkami przypominała w czymś kawiarnie na otwartym powietrzu. Wystarczyło wszakże popatrzeć na ludzi, siedzących pod parasolami, by to idyliczne wrażenie prysnęło w jednej chwili.

Każdy z „matematyków" znajdował na swym biurku kartkę papieru z podanymi założeniami zadania, które musiał rozwiązać. Początkowo ludzie ci patrzyli tępym wzrokiem na zapisane wzory i równania. W tym momencie znajdwali się jeszcze pod działaniem częstotliwości, która pozbawiała ich woli. Ale oto przełączano na częstotliwość dziewięćdziesięciu trzech herców i głos przez radio podawał rozkaz:

— Zaczynajcie pracę!

I wszyscy jak jeden — dwunastu ludzi, chwytało za ołówki papier i zaczynało gorączkowo pisać. Nie można tego było nazwać pracą. Przypominało to jakieś opętanie, histerię matematyczną, patologiczny atak gorączki matematycznej. Ludzie zwijali się, pochyleni nad papierami. Ręce ich biegały po papierze w takim tempie, że nie sposób było nadążyć wzrokiem za tym, co piszą. Twarze ich stawały się fioletowe z natężenia, oczy wychodziły im z orbit.

Trwało to około godziny. Potem gdy ruchy ich rąk traciły płynność i stawały się przerywane, gdy głowy dotykały już niemal biurek, a na wyciągniętych szyjach występowały nabrzmiałe, sine żyły, generator przełączano na częstotliwość ośmiu herców. Wszyscy momentalnie zasypiali.

Kraftstudt dbał o wypoczynek psychiczny swych niewolników!

Potem wszystko zaczynało się od początku.

Pewnego razu gdy obserwowałem ten wstrząsający widok szaleństwa matematycznego, byłem świadkiem, jak jeden z obliczeniowców nie wytrzymał... Nagle przestał pisać, jakoś dziwnie odwrócił się w stronę pracującego gorączkowo sąsiada i przez kilka chwil patrzał bezmyślnie przed siebie, jakby usiłując coś sobie przypomnieć. Zdawać się mogło, że zapomniał o czymś bardzo istotnym i koniecznym dla dalszego rozwiązania zadania.

Potem zawył straszliwie gardłowym głosem i zaczął rwać na sobie ubranie. Gdy był już całkiem nagi, zaczął gryźć sam siebie. Rwał zębami ciało na swych rękach, gryzł palce, darł skórę na piersi, bił głową o kant biurka... Potem stracił przytomność i upadł na podłogę.

Pozostali matematycy nie zwracali na niego najmniejszej nawet uwagi, w dalszym ciągu skrzypiąc gorączkowo ołówkami.

Zacząłem walić kułakiem w zamknięte drzwi. Miałem ochotę krzyknąć tym nieszczęśnikom, żeby porzucili swoją pracę, wyrwali się z tego przeklętego pomieszczenia, podnieśli bunt i unicestwili swoich oprawców.

— Czy warto tak się denerwować, panie Rauch? — usłyszałem obok siebie czyjś spokojny głos. To był Bolz.

— Jakim prawem pastwicie się tak nad nimi?

Uśmiechnął się swym uprzejmym inteligentnym uśmiechem i rzekł:

— Pamięta pan mit o Oddysie? Bogowie zaproponowali mu, by dokonał wyboru — albo życie długie i spokojne, albo krótkie, ale burzliwe. Wybrał to drugie. Ci ludzie także.

— Oni nie dokonywali żadnego wyboru. To wy za pomocą waszego generatora impulsowego zmuszacie ich, by trwonili życie i zdążali bez zastanowienia do własnego samounicestwienia w imię waszych korzyści!

Bolz roześmiał się.

— A czy pan nie słyszał od nich samych, że są szczęśliwi? Oni rzeczywiście czują się szczęśliwi. Proszę spojrzeć, z jakim zapamietaniem pracują. Czyż szczęścia nie osiąga się poprzez pracę twórczą?

— Pana rozumowanie jest obrzydliwe. Wiadomo przecież wszystkim, że istnieje jakieś naturalne tempo życia człowieka i wszystkie próby, zmierzające do przyśpieszenia go — są zbrodnią.

— Bolz znów się roześmiał.

— Pan jest nielogiczny, profesorze. Dawniej ludzie chodzili piechotą i jeździli na konach. Teraz latają samolotami odrzutowymi. Dawniej wiadomości przekazywano z ust do ust, od człowieka do człowieka i całymi latami wędrowały one przez świat, a dzisiaj ludzie natychmiast dowiadują się o wszystkim przez radio i telefon. To są przykłady, jak współczesna cywilizacja wzmaga tempo życia. I pan nie uważa tego za zbrodnię. A kino, a prasa, a setki udogodnień, nienaturalnych przyjemności i rozkoszy — czyż to też nie wzmaga tempa życia? Dlaczego więc sztuczne przyśpieszenie funkcji organizmu żywego uważa pan za zbrodnie? Jestem przekonany, że ludzie ci żyjąc naturalnym życiem, nie zrobiliby nawet jednej milionowej tego, co robią obecnie. A sensem życia w ogóle jest, jak wiadomo, praca twórcza. Sam pan przekona się o tym, gdy dołączy do nich. Wkrótce i pan zrozumie na czy polegają radość i szczęście! Już za dwa dni. Przygotowuję dla pana specjalny pokój. Będzie pan tam pracował sam, ponieważ, proszę wybaczyć, różni się pan nieco od normalnych ludzi.

Bolz poklepał mnie familiarnie po ramieniu i pozostawił mnie samego, pogrążonego w rozmyśleniach nad jego nieludzką filozofią.

d. c. n.

Fidel Castro

zwycięstwo słusznej sprawy... Głowno...

Wśród stołów kręcił się mężczyzna z plikiem papierów.

— Sprzedaje pożyczkę rządu rewolucinego — wyjaśnił Jaime. — W ten sposób między innymi zdobywamy pieniądze na finansowanie ruchu oporu.

Nie było to ostatnie zaskoczenie tego wieczoru. Dowiedziałem się o planowanym ataku powietrznym na Campo Columbia, kwaterę główną Batisty, w której to trudnej grze miałem być jednym z głównych aktorów, a także o tym, że pułkownik Bayo wciąż uczy o niemożliwości osiągnięcia zwycięstwa siłami jedynie drobnych spiskowców, bez poparcia mas.

Na to ostatnie stwierdzenie nie zwróciłem wówczas większej uwagi.

TRZY TOREBKI Z ZAWARTOŚCIĄ...

Udało mi się przeprowadzić lot rozpoznawczy w pobliżu Campo Columbia, gniazda os Batisty. Opracowaliśmy skomplikowany plan unicestwienia dyktatora z powietrza, gdy nadeszła wiadomość o nowej wsypie z bronią. W jednym z barów dwaj kelnerzy z podziemia ukryli transport pistoletów. Właściciel, Dick Curley nic o tym nie wiedział.

— Wszystko byłoby dobrze poszło — opowiadał José Antonio Echevarria — gdyby jakiś gość nie poskarżył się, że nie działa WC. Curley poszedł sam zbadać przyczynę i w zbiorniku z wodą znalazł dziewięć pistoletów, pieczołowicie opakowanych w naoliwiony papier.

— Nombre de Dios! — zaklął Jaime.

— Curley przeprowadził prawdopodobnie u siebie dokładną rewizję. Wiadomo, co znalazł: pistolety pod blatami stołów, pistolety pod ladą w barze, pistolety za zasłonami, pistolety w wiadrach na śmieci, pistolety w skrzyniach z winem, wszędzie...

— I co?

— Dziś rano trzech naszych ludzi wyruszyło odzyskać część broni. Usiedli przy stoliku, zamówili trzy steki, ale nie zjedli wszystkiego tylko poprosili o papier, aby zabrać resztki. Dla psa, powiedzieli. Wyłowili pistolety spod stołu i ukradkiem wpakowali je w torby. Curley widocznie zauważył te manewry. W każdym bądź razie sam przyniósł im rachunek. Oto on.

Spojrzeliśmy na pogniecioną kartkę.

RACHUNEK

3 steki	18 peso
3 rumy	3 peso
3 torebki z zawartością	1200 peso
Razem:	1221 peso

— Co zrobili wasi ludzie? — zapytałem.

— Zapłacili. Wtedy Curley powiedział im, że jest jeszcze do odebrania 112 torebek i że każda będzie kosztować tylko 10 peso. Niech się pospieszą, bo zawartość psuje się szybko. Najdalej jutro rano będzie musiał ją wyrzucić...

— Łobuz — rozzłościł się Jaime.

— Zapłaciliśmy za wszystko. — Ale najdalej dziś w nocy broń musi zniknąć.

— Dokąd?

— Najlepiej wprost do Castro, w góry.

— Jakim sposobem?

— Samolotem. Pan poleci.

— Kiedy muszę wystartować?

— Najpóźniej za dwie godziny.

Adieu, Yvonne. Sierra Maestra wzywa. Zobaczę się znów z Fidelem Castro i jego bratem, z Camile i el Che, ze wszystkimi bohaterami rewolucji. Myślałem w tej chwili o wszystkim tylko nie o grożącym mi niebezpieczeństwie w górach kubańskich. Przecież grupka rewolucjonistów była na nie narażona codziennie, co godzinę... Nie myślałem też, że Yvonne spotkam jeszcze i to w bardziej tajemniczych okolicznościach...

ZA TYDZIEŃ:

* FIDELA INTERESUJĄ WYŚCIGI SAMOCHODOWE * REMIS PLUS MYSZOŁÓW * ERROL FLYNN NIC NIE ZROZUMIAŁ * CO OBIECYWAŁ SOBIE MENDOZO? * GOMEZ ZŁOŻYŁ NAJPIĘKNIEJSZĄ DEKLARACJĘ * DLACZEGO NIENAWIDZĘ AMERYKANÓW.

Popularna piosenkarka Hanna Rek śpiewała ostatnio w studio telewizji łódzkiej w koncercie rozrywkowym. Jakkolwiek audycja ta nie zyskała przychylnej opinii prasy, głównie ze względu na nieszczęśliwe /czytaj nieprawdziwe/ podkłady muzyczne „play-back", to /mamy nadzieję-po poprawkach/ ma być powtórzona w programie ogólnopolskim dnia 29 lipca.

Fot. Paweł Nowakowski

Co piszą inni

DRAMATURGIA TELEWIZYJNA NA ZACHODZIE

Ostatni 6 (61) numer „Dialogu" poświęcił wyjątkowo wiele miejsca sprawom dramaturgii telewizyjnej na zachodzie Europy — i to zarówno w kronice, jak i w obszernym artykule Danuty Żmij. Bliżej zainteresowanych odsyłamy oczywiście do wspomnianego pisma, myślimy jednak, że jakiś syntetyczny skrót zainteresuje również szersze grono czytelników.

Red.

Nie od dziś wiemy, że telewizja jest niesłychanie żarłoczna, że ma szalone zapotrzebowania na wciąż nowe i nowe teksty dramaturgiczne, a trawi — z mniejszym lub większym powodzeniem — dosłownie wszystko. Sofokles, Szeksnir, Schiller, Ibsen, Shaw, Brecht to wciąż jeszcze jedni z najpopularniejszych na zachodzie Europy autorów telewizyjnych, a do tego dochodzą przecież niekończące się adaptacje prozy i bogata, choć — jak słychać z rozlicznych relacji — wciąż jeszcze nienajciekawsza oryginalna twórczość telewizyjna.

Jak obliczył „Times" różne stacje telewizji angielskiej (obok BBC są tam jeszcze cztery tzw. stacje niezależne) w przeciągu dwóch tygodni lutego nadały łącznie 14 spektali — w tym 11 sztuk telewizyjnych, 2 adaptacje sztuk teatralnych i 1 adaptację powieści.

Średnie zapotrzebowanie tygodniowe jest, powiedzmy, nieco niższe i wyraża się cyfrą pięciu pozycji, ale i tak w skali rocznej da to ponad 250 takich czy innych utworów dramatycznych nadających się do realizacji telewizyjnej.

W tym stanie rzeczy jasnym jest, że bazowanie wyłącznie na dorobku dramaturgicznym wieków ubiegłych czy współczesnej produkcji obliczonej na teatry — nie wystarczy i telewizja nie tylko ze względów ambicjonalnych ale najzwyklej komercjalnych musi szukać własnego autora, piszącego z uwzględnieniem swoistych telewizyjnych form wypowiedzi.

Eksperymentalna „BBC Langham Group" wysuwa na przykład — cytuję za Danutą Żmij — szereg postulatów tyczących już nie techniki pisania dla telewizji, a techniki realizatorskiej. Stwierdzają oni na przykład „...że cięcia montażowe — tak skwapliwie przejmowane od filmu — powinny być zredukowane do minimum, ponieważ przerywają ciągłość i nie pozwalają aktorowi na harmonijne rozwinięcie roli. Ścisła współpraca reżysera ze scenografem daje w efekcie dekoracje prostsze i bardziej skuteczne. Kamera jest za mało ruchliwa: należy się zastanowić jak to zmienić. Fonii nie można traktować wyłącznie w kategoriach taśmy odtwarzającej dialog i zapełniać luki za pomocą ilustracji dźwiękowej."

Oto kilka wniosków interesujących chyba dla telewizyjnych realizatorów, ale my — z własnego patrząc podwórka — możemy chyba wyciągnąć wnioski w nieco innym biegnące kierunku. Otóż: to co w Anglii jest dniem dzisiejszym, dla nas jest sprawą jutra i to jutra najbliższego. Dla nas również nadejdzie dzień, w którym poczniemy wołać o telewizyjnego autora i nie będzie go.

Jeżeli BBC mająca na swoim koncie 3000 spektali (fraszka w porównaniu z 1400 premierami rocznie) zdaniem krytyków nie może dopracować się autorów piszących zgoła inaczej niż pisze się dla teatru, autorów interesujących i odkrywczych, to co mówić o nas? A przecież stacja BBC to stacja bogata, płacąca doprawdy wysokie honoraria, podobnie jak bogate są inne stacje angielskie. Clive Exton pisze jeden utwór, zdobywa rozgłos i już BBC podpisuje z nim dwuletni kontrakt na 3 sztuki rocznie — my, przypuszczam, nie będziemy sobie mogli na to pozwolić, stąd chyba konieczność zaczynania wcześniej, kiedy jeszcze czas nie nagli.

Tymczasem liczba oryginalnych utworów w telewizji polskiej jest zastraszająco mała, przechodzą one przez taką ilość dziwaczących komisji, są poddawane tylu przeróbkom i traktowane tak grymaśnie, że pisanie dla telewizji — chyba że ma się monopol na „Kobry" — jest w ogóle rzeczą niepociągającą.

To chyba trzeba zmienić. Trzeba przebadać doświadczenia zachodu i w ślad za nimi też stworzyć — choćby z początku luźne — grupy eksperymentalne, trzeba zainteresować telewizją większą ilość pisarzy, pozwolić im na jeden czy drugi niewypał i na jedno czy drugie dośwadczenie. Inaczej nie zajdziemy daleko i wciąż będziemy grać dziadka Fredrę, którzy zresztą się w telewizji nie udaje.

JERZY PANASEWICZ

P.S. Lojalnie dodaję, że końcowe wnioski pochodzą już od wyżej podpisanego

J.P.

Teatr telewizji włoskiej wziął na warsztat cykl komedii Goldoniego

Reportaż w telewizji

„OCZEKIWANIE"

Generalnie biorąc dwa mamy gatunki telewizyjnego reportażu. Ten robiony na żywo, przy pomocy wozu tranmisyjnego i ten filmowy robiony ze scenariuszem w ręku, skrupulatnie montowany jak film, reportaż wykluwający się w czasie żmudnych godzin w salach montażowych i — dźwiękowych archiwach. Właściwie można by powiedzieć, że jest to normalny film. Ale tak nie jest. Reportaż telewizyjny jakkolwiek utrwalony na taśmie filmowej, musi różnić się od normalnego kadru, kameralnością indywidualnego oddziaływania małego ekranu i specyficzną drogą przekazywania go bezpośrednio do domu odbiorcy. A zatem reportaż telewizyjny jest połączeniem filmu i radia nie tylko od strony form odbioru, ale i od strony roboty warsztatowej. Dwaj znani dziennikarze radiowi Janicki i Zadrowski zrealizowali ostatnio pasjonujący reportaż pt. „Oczekiwanie". Jest to opowieść o narodzinach człowieka. Opowieść zwyczajna, prawdziwa. Zdumiewająco spostrzegawcza w drobnych szczegółach ludzkiego zachowania z tej strony drzwi położniczej kliniki: papierosy, nerwowe skupienie, bębnienie palców po blacie, nerwowy krok, niepewność i rezygnacja, nadzieja i rozpacz, radość i podziękowania. Jest to odkrywcza opowieść o tamtej stronie drzwi, o korytarzach oczekiwania, o zamglonych oknach na ulicę, monotonnie pykającej kropłówce, windzie, białych tamponach, zaciśniętych rękach, kobiecym krzyku, dziecięcym płaczu, pierwszym głosie człowieka na tym świecie...

Francuskie wydanie magazynu telewizyjnego „Telemonde" dla kobiet poradziło ostatnio, by wszystkie panie wybierające się na wczasy dokonały pomiarów ciała i w zależności od wymików wybierały bądź morze bądź też wspinaczkę wysokogórską wymagającą jak wiadomo dość szczelnych strojów. Jeśli więc — głosi komentarz — masz wymiary takie jak na tym zdjęciu — możesz śmiało pokazać się na plaży w skromnym kostiumie bikini. My dodajemy, że drobne odchylenia są dopuszczalne.

Montaż: oczy nad tamponem, wrzątek, strzykawki, biel i błysk stali, łzy płynące z oczu do zaciśniętych ust.

Ogląda się ten reportaż i coś chwyta za gardło. Reportaż mówi o bohaterstwie narodzin człowieka. Niemałże te narodziny pokazuje. I od stron klinicznej i od strony głęboko ludzkiej, których to stron rozdzielać nie można.

„Oczekiwanie" Janickiego i Zadrowskiego będzie pokazane na tegorocznym konkursie „Prix Italia". Nie czekajmy jednak z gratulacjami i podziękowaniem za rzecz naprawdę znakomitą.

(m)

WSZYSTKIE DNI TYGODNIA

„Wszystkie Dni Tygodnia" to telewizyjny magazyn informacyjny, którego założeniem jest uzupełnianie programu ogólnopolskiego TV o zagadnienia ściśle łódzkie. Magazyn przechodził rozmaite koleje losu, zmieniała się jego forma, pomysły, zakres tematów, wreszcie ludzie, którzy, jak się zdaje, powinni dłużej zagrzać miejsca w telewizji, by odnaleźć swój genre dziennikarski. Na to jakoś im nie pozwalano i „Wszystkie Dni Tygodnia" pozostały jak dawniej niekonsekwentnym kalejdoskopem twarzy, postaci dziś już nawet anonimowych. Nie wiadomo właściwie dlaczego nie informuje się widzów, że mówi do nich np. red. Edward Szuster, red. Halina Batorowicz, czy red. Krzysztof Pogorzelec. Widz czuje się głupio: słucha obcego człowieka u siebie w domu! Telewizja to już taka instytucja, że wszyscy muszą być naszymi dobrymi znajomymi, wszyscy — jako tako stali jej reprezentanci. Wtedy mamy do nich zaufanie, lubimy ich, albo nie, ale jest przynajmniej jakaś jasność sytuacji.

Zaszły we „Wszystkich Dniach Tygodnia" pewne zmiany na lepsze. Nie ma już ornamentów, wielominutowych oracji jednego (zresztą dość miłego) człowieka. Magazyn toczy się raczej wartko, a popychają go wstawki filmowe. Zasada montażu jest prosta: studio podaje wywiad, wypowiedź jakiegoś dziennikarza, zaraz po tym wchodzi inny temat filmowy, potem znów studio itd. Jakkolwiek pochwaliliśmy poczystość audycji, zganmy ją za schematyczny zupełnie dobór tematów i to, co się nazywa redagowaniem całości. We „Wszystkich Dniach Tygodnia" dominuje wyraźnie informacja i publicystyka miejska, mówi się o nowych obiektach, które są lub będą budowane, o modernizacji przemysłu w mieście, o nowych wdziankach itd. Mniej uwagi poświęcają autorzy magazynu wydarzeniom kulturalnym, choć, za prawdę, starają się o nich pamiętać. To znaczy nie tyle o wydarzeniach, ile w ogóle o rubryce pod nazwą kulturalna. Ostatnio widzieliśmy we WDT aktorkę Jadwigę Andrzejewską. To był dziwny wywiad. Nie wiadomo doprawdy co o nim sądzić. Przez cały czas na ekranie była pani Jadwiga a jej interlokutor, którego głosem stawiane były pytania siedział gdzieś poza ekranem. Może to skromność, może eksperyment? Jeśli to drugie, to chyba dość mizerny, bo budzący niezdrową ciekawość, kto też rozmawia z Andrzejewską? Może Osmańczyk? I ludzie zajmują się tym tajemniczym anonimem, a nie świetną aktorką.

Wróćmy jednak do kultury w sensie wydarzeń. Nie było ich mimo letnich ogórków — mało. Bo to i rewia gwiazd międzynarodowego baletu, którą można było nakręcić na taśmę i pokazać choć w urywku, omówić na podstawie zdjęć baletu, zawsze atrakcyjnych. Przyjeżdża znów do Łodzi teatr dramatu i baletu z Pecs. Właśnie zespół „Harnama" wrócił z Wenecji i Terramo, gdzie odniósł znaczne sukcesy — przywieźli wiele dobrych zdjęć... A więc wniosek, że kultury we „Wszystkich Dniach Tygodnia" nie można odfajkować jednym wywiadem, czy rozmówką na temat historii Łodzi. Kultura powinna błyszczeć w tym magazynie jako temat pierwszej wielkości, temat aktualny i aktualnie robiony z dużym poczuciem dziennikarskiej operatywności.

Jeszcze jedna uwaga na marginesie ostatniego wydania WDT. To smutne, ale rzetelność informacyjna publicystów i dziennikarzy występujących przed kamerą pozostawia nieco do życzenia. Nie można mówić np., że „Łódź ma już kilkunastu laureatów nagród naukowych i kulturalnych", bo chyba wiadomo dokładnie ilu ich jest. Np. nie to jest najważniejsze, że red. Busiakiewicz i prof. Tomaszewicz mieszkają w śródmieściu, a ważne jest dla telewidza to, co dla miasta oni zdziałali. Nie sposób zapomnieć i o tym, że przy pewnym prześlizgiwaniu się po tematach, magazyn, jako całość, jest zwierzeco poważny. Nawet tak znakomity dowcip, jak to, że ŁKS dlatego przegrał z Cracovią, bo nie uznano samobójczej bramki w tamtej drużynie, zabrzmiał w komentarzu jak zupełnie poważny zarzut pod adresem sędziów.

Tyle uwag na dzisiaj. Z poradami nie ośmielamy się występować, następny magazyn obejrzymy sobie po wakacjach. Może będą to już naprawdę dni łódzkiego tygodnia.

Telewizja łódzka nadała ostatnio półgodzinną audycję pt. „Żarciki i piosenki", w której występowali młodzi wykonawcy z krakowskiej „Piwnicy pod Baranami". Tymczasem łódzki „Pstrąg" został zaproszony na Wybrzeże. Nikt nie jest prorokiem we własnej telewizji...

Fot. Paweł Nowakowski

PROGRAM na najbliższe dni

Czwartek, 13 lipca 61 r.

18.10 Program dnia (L. lok.). 18.15 Miś z okienka (W). 18.30 Program publicystyczny (W). 19.00 Koncert popularnych utworów znanych solistów warszawskich (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.05 „Klaps" (L. ogólnopolski). 20.35 PKF (W). 20.45 Teatr „Kobra", wid. sensac. pt. „Śmierć pod żaglami" Charles Show, w reżyserii Stanisława Wohla (W). 21.45 Ostatnie wiadomości (W).

Piątek, 14 lipca 61 r.

17.20 Program dnia (L. lok.). 17.25 Wszystkie Dni Tygodnia (L. lok.) 17.55 „Mój koń" angielski film dla młodzieży (W). 18.25 — Wszechnica TV — program pt. „Sekrety iluzji" (W). 18.35 Telewizyjny magazyn wojskowy (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.50 „Na drabinie" komedia Feliciana Felińskiego w reżyserii Jerzego Rakowieckiego. Transmisja z Teatru Kameralnego w Warszawie (W). 21.45 Ostatnie wiadomości (W).

Sobota, 15 lipca 61 r.

15.55 Program dnia (L. lok.). 16.00 Sprawozdanie sportowe z międzypaństwowego meczu lekkoatletycznego ZSRR — USA. Transmisja z Moskwy. 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 „Ruy Blas" — film fab. produkcji francuskiej (czytany) od str. 16 (W). 21.45 Ostatnie wiadomości (W). 21.50 Program rozrywkowy „Bumbarajo" — wodewil A. Nowickiego (L. ogólnop.).

Niedziela, 16 lipca 61 r.

13.15 Program dnia (L. lok.). 13.20 Koncert muzyki estradowej i popularnej (Kat.). 14.10 Niedzielna Biesiada (L. ogólnop.). 15.10 PKF i film radziecki „Narada zwierząt" prod. francuskiej (W). 15.40 „Na srebrnym ekranie" — teleturniej (P. 16.40 „Dwaj weseli przyjaciele" z serii Disneyland (W). 17.20 Sprawozdanie sportowe z międzypaństwowego meczu lekkoatletycznego ZSRR — USA. Transmisja z Moskwy. 19.45 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 Estrada poetycka „Karnawałowy wybór i adaptacja Hanny Skarbkowej (W). 21.05 „Nie ma pokoju pod oliwkami" film fab. prod. włoskiej (czytany). Obsada: L. Bose i R. Valone (W). 22.45 Wiadomości sportowe (W).

3 WYWIADY NA JEDEN TEMAT

O planach urlopowych powiedzieli nam:

PANI ZOFIA PETRYCKA

— Letnisko w którejś z podłódzkich miejscowości to bardzo wygodna rzecz dla matek z dziećmi. Trudno przecież z paromiesięcznym brzdącem wiec się aż nad morze. Zważywszy jeszcze na koszt przejazdu paroosobowej rodziny (przeciętnie 700—800 złotych) to jasne, że takie letnisko się opłaca. W dodatku nie jest ono za drogie. Na ogół można już za tysiąc złotych wynająć pokój na sezon letni. W atrakcyjnych miejscowościach, jak Kolumna czy Grotniki, cena jest nieco wyższa, waha się w granicach 2 tysięcy złotych za sezon. Oczywiście nowicjuszowi trudno jest wynająć pokój od razu, bo z góry zamawiają je sobie starzy bywalcy wynajmujący corocznie.

PANI JOLANTA WALCZAK

— Wynajmuję jak i w zeszłym roku letnisko w Głownie. Gospodarze, u których zamieszkam, to starzy znajomi i dlatego stosunkowo tanio, bo za niecałe tysiąc złotych mam zapewnione locum i wyżywienie. O ile się orientuję normalne ceny są dosyć wysokie, nieraz nawet sięgają dwóch tysięcy pięćset i trzech tysięcy. Biorąc pod uwagę wygodę — możność dojazdu do pracy i po pracy to raczej ta forma wczasów się opłaca.

SPÓŁDZIELNIA TURYSTYCZNA „GROMADA"

— Nasza akcja wczasów indywidualnych „pod gruszą" cieszy się dość dużym powodzeniem. Objęliśmy nią prawie wszystkie atrakcyjniejsze miejscowości. Szczególnie powodzenie ma wśród rodzin z dziećmi. Koszt nie jest zbyt wielki, bo już od trzystu złotych można wynająć pokój na miesiąc. Cena zależna jest oczywiście od warunków mieszkalnych danego letniska. W województwie łódzkim dysponujemy letniskami w takich miejscowościach jak Kacprów, Liciażna, Górki koło Pajęczna, Skierniewice, Brzozów, Sworawa itp.

Rozmawiał ŁUW

informacje i zaczepki

Łódzki pisarz Zbigniew Nienacki otrzymał III nagrodę na ogólnopolskim konkursie na sztukę o tematyce współczesnej zorganizowanym przez Wydział Kultury PRN miasta Krakowa. ◇ „Dookoła Świata" pisząc o Międzynarodowych Targach Książki zaatakowało w sposób niezmiernie odważny „raka szmiry" jaki toczy amerykańskie wydawnictwa; trafchciał, że atak ów znalazł się pod zdjęciem, na którym widzimy książki Cervantesa, Faulknera, Millera, Wiliamsa — daj nam Boże trochę chociaż takiej „szmiry". ◇ Niedawno w centrum Łodzi miał miejsce iście gangsterski napad na sklep jubilerski; jak z powyższego widać nasze miasto europeizuje się. ◇ Wierzyć się nie chce, że łódzkie przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane MHW wybudowało na Widzewie pawilon książki w ciągu zaledwie 3,5 miesiąca. ◇ W najbliższym czasie odwiedzi nasze miasto węgierski Teatr Narodowy z Pecs, który zaprezentuje łódzkiej publiczności m. in. „Medeę" Eurypidesa i „Wesele Figara" — Beaumarchais. ◇ Popularny literat łódzki Grzegorz Timofiejew odznaczony został niedawno przez Radę Państwa Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. ◇ Warto obejrzeć wystawianą w Teatrze Nowym interesującą sztukę Władysława Orłowskiego „Sprawiedliwość w Kioto". ◇ Na Uniwersytecie Łódzkim utworzono nowy kierunek studiów — jest nim filologia klasyczna; w bieżącym roku rozpoczęło naukę aż... 5-ciu studentów. ◇ Na festiwalu folklorystycznym w Wenecji łódzki zespół taneczny „Harnamowców" został wysoko oceniony zarówno przez jury jak i publiczność. ◇ Również niemałym sukcesem poszczycić się może solistka Opery łódzkiej Zofia Rudnicka, która zakwalifikowała się do trzeciego etapu konkursu śpiewaków operowych w Sofii. ◇ Jak podaje „Dziennik Łódzki" na nasze miasto (śródmieście) spada rocznie od 185 do 365 ton pyłu. ◇ Ładnie spisała się łódzka młodzież w akcji zbierania makulatury — w ciągu kilku dni dostarczono do zbiornic około 200 ton „starych papierzysk".

WIL.

poczta literacka

PAN ST. J. ŁÓDŹ. Podziwiamy szybkość z jaką Pan reaguje na aktualne wydarzenia w Łodzi i świecie. Fragment Pańskiego listu wspominający o wartości literackiej przysłanych nam utworów traktujemy jako jeszcze jeden dobry dowcip.

* * *

PAN R. W. TOMASZÓW. Z dużej ilości Pana wierszy nie potrafimy wybrać do druku ani jednego mimo, że są na ogół poprawne i niczym nie rażą. Żaden z nich jednak nie robi najmniejszego wrażenia, wszystkie są jednakowo „bez twarzy", bezosobowe, zbudowane na ograných już tematach, i — jak nam się wydaje — wszystkie tak samo nie przeżyte. Moral stąd łatwy do odgadnięcia — nie skorzystamy. Próbować chyba warto, bo pewna biegłość widać.

* * *

PAN F. R. ŁÓDŹ. Jesteśmy nieco oszołomieni ilością form jakich próbki Pan nam zaprezentował. Z tego też względu — aby nie wydrukować na przykład wiersza poważnego, jako parodii — nie skorzystamy. Niektóre fraszki dowcipne.

* * *

PAN H. M. TOMASZÓW. Opowiadanie Pana spodobało nam się mimo, że nie jest jeszcze wolne od niezamierzonych chyba naiwności i słabszych partii. Trudno nam obiecywać, że wydrukujemy, zostawiamy w szufladzie, radzimy się skontaktować z innymi pismami, a może z którymś z wydawnictw.

* * *

PAN Z. G. OSTRZESZÓW. Pisze Pan, że poezje Pana, które mieliśmy niewątpliwie przyjemność czytać są — w Pana opinii nie gorsze od tych, które drukujemy. Naszym zdaniem są gorsze. Nie skorzystamy, ale odwołamy się do opinii czytelników zamieszczając fragment Pańskiego utworu pt. „Improwizacja".

„Dziewczyno — daj mi dłoń!
Pójdziemy razem w świat:
Przy skroni blisko skroń —
Jak za zamierzchłych lat".

PIÓRKIEM PO AKTUALNOŚCIACH

„Świat Młodych" w numerze z początku czerwca proponuje swym czytelnikom nową zabawę zatytułowaną: „Wiosenna gra — jednemu weźmie drugiemu da!"

Mamy niejakie wątpliwości, co to za gra i czy aby najodpowiedniejsza dla młodzieży?

■

Niedawno zakończyły się matury. Jak doniosła prasa, w tym roku opracowano dla maturzystów na egzaminy piśmienne między innymi temat następujący: „Bohaterowie Stefana Żeromskiego jako wyraz kultu dla siły wewnętrznej i moralnej — piękna człowieka".

Wydaje nam się, że to ani moralnie, ani pięknie znęcać się nad młodzieżą tak sformułowanym tematem.

■

Pod znamiennym tytułem „Niedzielne atrakcje w parku 3 Maja" zapowiedziano, że zostały takie imprezy jak: biegi we workach — pojedyńcze i parami, wyścigi z jajkiem na łyżce w ustach, wciąganie ustami nitki z cukierkiem i łowienie butelek wina na wędkę.

Cel imprez jest zbożny — dochody przeznacza się na budowę szkół. Czy to jednak najlepsza SZKOŁA zabaw i rybołówstwa, gdy zamiast rybki wyławia się „coś pod rybkę?"

■

Na ostatnim walnym zebraniu dziennikarzy jeden z dyskutantów zaatakował ostro pewne ograniczenia stosowane w Klubie Dziennikarza. Tak np. z gier karcianych dozwolony jest tam tylko brydż.

Uważamy, że dyskutant miał rację. No bo co mają robić bywalcy klubu, którzy chcą zagrać w oko albo durnia?

■

W czasie niedawnej narady zorganizowanej przez Dyrekcję Łódzkich Zakładów Gastronomicznych — Wschód, pewna pracownica tych zakładów stwierdziła ni mniej ni więcej:

„Gdybym zarabiała 2 tys. złotych, pracowałabym możliwie uczciwie".

Prasa skrytykowała wypowiedź uczestniczki zebrania. Niesłusznie. Naszym zdaniem, jest to wyjątkowo uczciwe przyznanie się do nieuczciwości.

T. G-r.

Najostrzejsze ołówki świata

GERD JAEGER

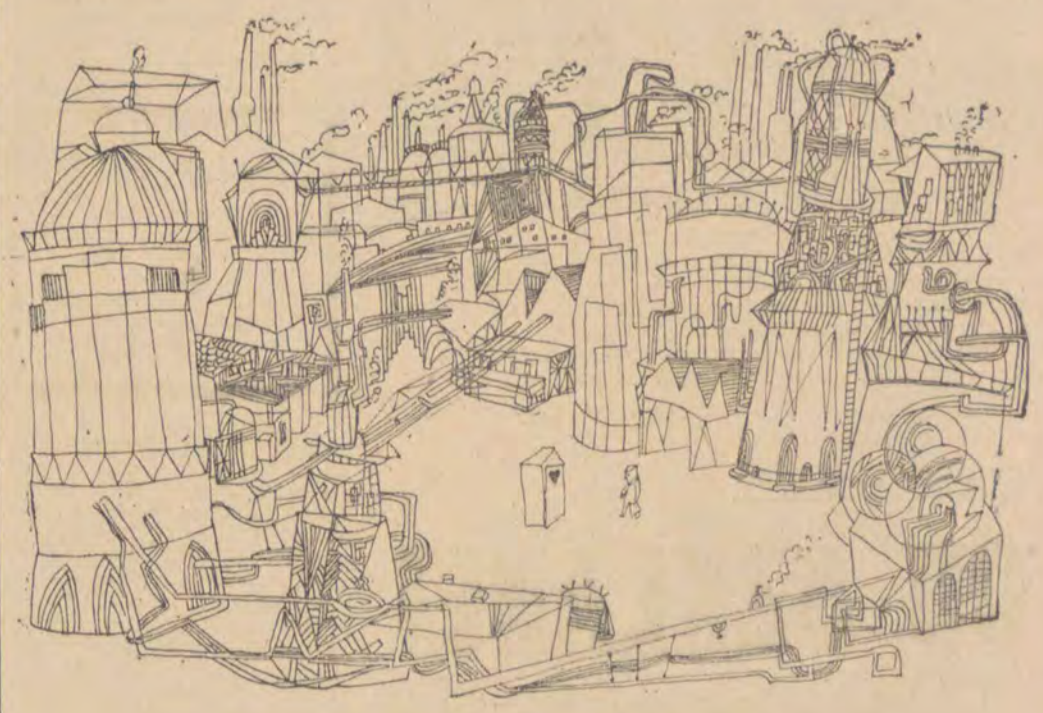

PARADOKSY AUTOMATYZACJI

Kto jak kto — ale rysownicy niemieccy przyzwyczaili nas do maksymalnej prostoty, komunikatywności. Tym ciekawszym zjawiskiem jest więc twórczość Gerda Jaegera, 34-letniego asystenta katedry rzeźby w drezdeńskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Jaeger uprawia żart niejako na marginesie poważniejszych prac, takich jak malarstwo ścienne, projektowanie detali architektonicznych, konserwacja zabytków. Okazuje się jednak, że ów margines nie jest w niczym uboższy, czuje się tu autentyczną sztukę i autentyczny talent.

Wszystkie cechy nowoczesnego żartu można wyliczyć na przykładzie kilku zaledwie rysunków Jaegera: umiłowanie absurdu, twórcze odświeżanie secesyjnych form, świadomy antyestetyzmu, wreszcie — w zakresie tematu — obsesyjny stosunek do mieszczaństwa.

Być może — humor ten jest nieco trudniejszy, Jaeger nie osiągnie nigdy takiej popularności jak inni jego koledzy z NRD — Büttner, Rauwolf, lub Schmidt. Przecież jednak ogromna pomysłowość i walory plastyczne tych niepozornych rysuneczków — każą go zaliczyć do grona najwybitniejszych karykaturzystów Europy.

Aż przykro, że w Polsce pozostaje rysownikiem prawie zupełnie nieznanym.

(JERT)

— Ani słowa więcej, najdroższy.

NASZA KRZYŻÓWKA

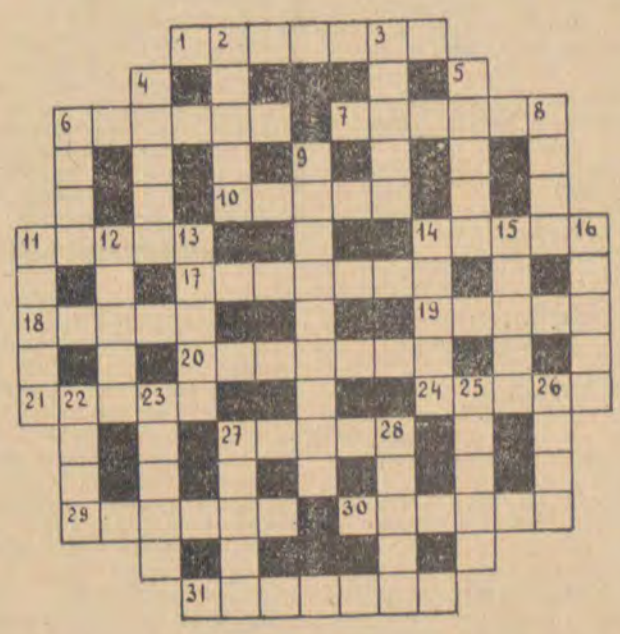

Znaczenie wyrazów:

Poziomo — 1 Rozrywka umysłowa, 6) Faza księżyca, 7) Wzmacnia odbiór audycji radiowych, 10) Imię żeńskie, 11) Olbrzym, wielki budynek, 14) Statek powietrzny, 17) Przeciwieństwo sufitu, 18) Pismo ozdobne o wyraźnie pogrubionych liniach, 19) Notatnik, 20) Flanca — młode rośliny hodowane w inspektach lub na rozsadniku, 21) Droga, 24) Drapieżnik z rodziny kunowatych, 27) Potrawa mięsna, 29) Popularna nazwa zająca, 30) Mebel, 31) Ajer.

Pionowo — 2) Jutrzenka 3) Państwo europejskie, 4) Płaszcz, 5) Zanał, energia ożywienie, 6) Teatr świetlny, 8) Samochód, 9) Miasto wojewódzkie, 11) Jednostka masy stosowana przy ważeniu złota lub drogich kamieni, 12) Jednowymiarowy twór geometryczny w przestrzeni lub na płaszczyźnie, tworzony przez poruszający się punkt, 13) Wioślarstwo, boks, lekkoatletyka, 14) Pospolite i oklepane powiedzenie, 15) Roślina wodna o dużych pięknych różowych kwiatach, 16) Wnęka w murze lub ścianie, 22) Tkanina, 23) Grzyb lub taniec, 25) Rodzaj lassa, 26) Napój, 27) Część marynarki lub przyrząd w instrumentach dętych zamykający otwór, 28) Prawy dopływ Wisły.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru 17

Poziomo — San, portiera, oranżada, łów, Kock, real, kantalupa, wilk, kino, pakt, oda, ręka, Lutosławski, raki, mak, echo, orka, tura, Socha czew, zdun, klon, nie, aga, diafonia.

Pionowo — połonina, stok, serdak, sałata, nowela, kanapa, ażur, odważnik, kotlina, kariera, odłam, por, sto, osm, aak, osa, Abo, aerodrom, harmonia, kolano, Chinka, scheda, Nida, krok.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. **Feliks Fedzin, Łódź,** ul. Skalna 28

2. **Kazimierz Urbański,** Łódź, ul. Drukarska 17 m. 47

Zagadka tygodnia

DZIŚ ZAGADKA HISTORYCZNA

Myślimy, iż nie sprawi ona zbytnich trudności naszym czytelnikom. Chodzi po prostu o to, aby połączyć w pary znane postacie historyczne

1) Fryderyk Chopin
2) Jan Sobieski
3) Cyprian Norwid
4) Kazimierz Wielki

1) Maria Kazimiera d'Arguien
2) Esterka
3) George Sand
4) Maria Calergis

Rozwiązania wyłącznie na kartkach pocztowych należy nadsyłać w terminie tygodniowym. Wśród czytelników którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania rozlosowane zostaną nagrody książkowe.

ROZWIĄZANIE Z NR 25

Taras Szewczenko — malarz, Tadeusz Boy-Żeleński — lekarz, Leon Kruczkowski — chemik, Jan Brzechwa — prawnik. Nagrodę otrzymuje p. Jadwiga Krawczyk, Łódź ul. Tuszyńska 37

RYSZARD DOROBA

Redaguje Zespół ◇ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ◇ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96 Tel. 244 79 ◇ Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— ◇ Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ◇ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz RUCH „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Zwirki 17 ◇ Zam. 2003 VII L-4

Zespół inżynierów Centralnego Laboratorium Przemysłu Dziewiarskiego w Łodzi, który opracował technologię wytwarzania z włókna poliestrowego sztucznych tętnic. Na zdjęciu od lewej: Andrzej Nawrocki, Zdzisław Zbieranowski i Przemysław Granas. Czwarty z zespołu inż. Czesław Okrojek w czasie wizyty naszego fotoreportera był w odwiedzinach we Wrocławiu u zoperowanego rolnika.

WITOLD KAKOWSKI

OD SZKLANEJ RURKI...

W nocy z 22 na 23 czerwca br. w szpitalu w Brzegu wszczepiono rannemu rolnikowi 10 cm sztucznej tetnicy wykonanej przez Centralne Laboratorium Przemysłu Dziewiarskiego w Łodzi. Operacja ta przeprowadzona przez adiunkta III Kliniki Chirurgicznej we Wrocławiu dr Henryka Kusia otwiera przed lekarzami polskimi nowe możliwości w chirurgicznym leczeniu schorzeń naczyń krwionośnych, wad serca, przełyku, przepuklin oraz w dokonywaniu operacji pla-

Jednym z pionierów wszczepiania sztucznych tętnic był dr Alexus Carrel. Pracując w Instytucie Rockefellera w Nowym Jorku, przeprowadził rozległe studia dotyczące zastępowania u zwierząt aorty. Jego próby użycia do tego celu rurek szklanych i aluminiowych powlęczonych parafiną - dały pomyślne wyniki, ale wypadki późniejszych skrzepów krwi były zbyt częste i powodowały niedrożność przewodów. Poza tym wszczepianie rurek wywoływało rozpad naczynia krwionośnego w miejscu spojenia, co powodowało śmierć na skutek krwotoku i upływu krwi.

stycznych. Jeden z wrocławskich chirurgów stwierdził w kilka dni po udanym zabiegu z wszczepieniem tętnicy: „Posiadając dziane łatki poliestrowe jesteśmy obecnie w stanie nawet odtwarzać ludziom uszkodzone nosy i muszle uszu".

Wrocławski sukces chirurgii polskiej, wszczepienia rannemu po raz pierwszy sztucznej tętnicy wyprodukowanej w kraju, poprzedziły miesiące mozolnej pracy lekarzy wielu klinik chirurgicznych oraz zespołu łódzkich inżynierów z CLPDz: Przemysława Granasa, Zdzisława Zbieranowskiego, Andrzeja Nawrockiego oraz Czesława Okrojka. Inicjatywa lekarzy spotkała się z inicjatywą łódzkich inżynierów. Wynik: olbrzymi krok naprzód w ratowaniu zdrowia i życia ludzkiego.

ŻMUDNE DOŚWIADCZENIA

Chirurgia naczyń krwionośnych nie jest rzecza nową. Próby zastępowania pewnych odcinków uszkodzonych tętnic sztucznymi przewodami podejmowali lekarze wielu narodowości w różnych okresach naszego stulecia. Niestety: rozbijały się one o brak odpowiednich protez tętniczych. Dopiero w latach po II wojnie światowej chirurdzy otrzymali od inżynierów dziane protezy tętnic wykonane z włókien syntetycznych. Po udanych doświadczeniach wszczepienia protez tętniczych zwierzętom przystąpiono na zachodzie wUSA i Anglii do chirurgicznego leczenia ludzi. Wielu pacjentów zawdzięcza udanym wszczepieniom sztucznych tętnic uratowanie życia, zawdzięcza uchronienie od kalectwa.

Na zachodzie stosowano w zabiegach operacyjnych dziane protezy tętnic i aort i w ten sposób ratowano ludzkie zdrowie albo nawet życie. U nas w kraju prowadzono nieliczne próby z wszczepienia sztucznych naczyń krwionośnych zwierzętom. Doświadczenia ograniczały skromne środki finansowe. Amerykańskie protezy tętnic zależnie od średnicy ich przekroju kosztują 24—40 dolarów za sztukę. Eksperymentujący lekarze polscy zdobywali je raczej drogą osobistych kontaktów zagranicznych.

WROCŁAWSKI EKSPERYMENT

Lekarzem, który całkowicie niemal oddał się badaniom nad wszczepianiem zwierzętom sztucznych naczyń krwionośnych jest adiunkt III Kliniki Chirurgicznej we Wrocławiu dr Henryk Kuś. Doświadczenia prowadzone przez niego od 3 lat, pochłaniały całkowicie nie tylko jego czas, lecz również wszystkie prawie środki finasowe.

Na ogół przyjęliśmy widzieć w zdolnych i doświadczonych lekarzach ludzi,

Lekarze Murray i James stosowali wszczepianie szklanych rurek zwierzętom. Jednak mimo dużych dawek heparyny (leku antyskrzepowego) rurki pozostawały drożne zaledwie 72 godziny.

którym w miarę upływu czasu dobra materialne pomnażają się. U dr Henryka Kusia odwrotnie. W miarę coraz liczniejszych i udanych doświadczeń dobra materialne jego dwuosobowej rodziny malały. Żeby zdobyć środki na przeprowadzenie eksperymentów sprzedał potrzebny przecież lekarzowi samochód.

Zwierzęcych „pacjentów" przybywało. Ostatnio adiunkt dr Kuś przeprowadzał co tydzień jedną operację wszczepienia sztucznej tętnicy. Wśród zoperowanych zwierząt są takie, które żyją z protezą tętniczą już od 3 lat. Na dziesiątki eksperymentów tylko jeden

W okresie międzywojennym dr Blackemore i jego asystenci czynili doświadczenia z wszczepianiem 15 psom rurek z vitalium. Niestety, tylko jedno wszczepienie było na tyle udane, że odcinek sztucznej aorty funkcjonował 5 dni.

zakończył się niepomyślnie.

Po skontaktowaniu się w roku bieżącym z zespołem łódzkich inżynierów badania adiunkta dr H. Kusia nie były już tak kosztowne. Zaczął on otrzymywać z Centralnego Laboratorium Przemysłu Dziewiarskiego z Łodzi protezy bezpłatnie. Udane doświadczenia ze zwierzętami pozwalały przystąpić do operacji dokonywanych na ludziach i rokowały jak najlepsze nadzieje.

POSZUKIWANIA ŁÓDZKICH INŻYNIERÓW

Mogą wytwarzać sztuczne tętnice inni (w USA i ZSRR) możemy i my — postanowili młodzi inżynierowie CLPDz w Łodzi: Przemysław Granas, Zdzisław Zbieranowski, Andrzej Nawrocki i Czesław Okrojek. Wiedzieli, z jakich włókien należy protezy wytwarzać, lecz w kraju włókien takich nie ma. Usiłowano sprowadzić potrzebną przędzę z USA, niestety odmówiono dostawy tego „strategicznego surowca". Zespół nie zrażał się tymi przeciwnościami.

Opracować technologię wytwarzania przędzy a następnie sztucznych naczyń krwionośnych z surowców

Dr H. D. More z Oxfordu wykonał szereg eksperymentów wszczepienia aorty królikom, stosując rurki polietylenowe. Wypadki skrzepów były jednak bardzo częste. Na 20 królików zaledwie 4 żyły kilka tygodni. Kilka prób w oparciu o te doświadczenia, przeprowadzili chirurdzy podczas drugiej wojny światowej. Prawie wszystkie jednak próby zastąpienia uszkodzonych tętnic rurkami polietylenowymi u rannych żołnierzy były nieudane.

dostępnych w kraju; przystosować do tej produkcji maszynę dziewiarską — oto zadanie jakiego podjęli się w roku ubiegłym — „poza planem" prac laborotorium — łódzcy inżynierowie. W kilka miesięcy potem obchodzili swoje małe radosne święto: pierwsza sztuczna tętnica była gotowa.

Dzieło pracy ich rąk i mózgów musiało być ocenione. Nawiązano więc pierwszy kontakt z prof. dr Janem Nielubowiczem znanym chirurgiem warszawskim, członkiem PAN. Ocena była pozytywna. Prof. Nielubowicz udzielił poza tym inżynierom cennych wskazówek co do wymagań technicznych stawianych przez chirurgów sztucznym tętnicom i zaoferował współpracę w przeprowadzaniu próbnych szczepień na zwierzętach. U profesora też inżynierowie łódzcy mieli możność po raz pierwszy zapoznać się z protezami tętniczymi wyprodukowanymi i stosowanymi w USA.

WSZYSTKIE DROGI PROWADZĄ DO ŁODZI

Dalsze dzieje eksperymentu łódzkich inżynierów dowodzą m.in. jak uważnie czytane są nowinki techniczne w naszej prasie. Wzmianka prasowa o doświadczeniach prowadzonych w CLPDz spowodowała napływ listów od wszystkich prawie klinik chirurgicznych w kraju. Zaoferowały one zespołowi łódzkich inżynierów współpracę. Sugerowały jednocześnie — w oparciu o własne obserwacje i doświadczenia — rozwiązania techniczne w wytwarzaniu sztucznych tętnic.

Rzecz zrozumiała, że rozszerzenie współpracy i doświadczeń zbliżyło inżynierów i lekarzy milowymi krokami do osiągnięcia celu: wszczepienia protez tętniczych ludziom. Nastąpiły wzajemne wizyty inżynierów w klinikach chirurgicznych i lekarzy w CLPDz. Nawiązywały się nowe kontakty.

Podczas jednej z takich wizyt w klinikach wrocławskich inż. Nawrocki, członek zespołu opracowującego wytwarzanie sztucznych tętnic, poznał przed 4 miesiącami

Dopiero w 1952 roku eksperyment lekarzy Jaretzkyego i Blackemoreá udowodnił, że możliwe jest zastępowanie naczyń krwionośnych przewodami wykonanymi z włókien syntetycznych. Doświadczenie to wykorzystał i rozpowszechnił profesor chirurgii na uniwersytecie Baylor w Houston dr de Bakey. Udowodnił on, że spośród wszystkich technik wytwarzania artykułów włókienniczych, jedynie technika dziewiarska pozwala osiągnąć wszechstronnie zadowalająco wykonane sztuczne naczynia krwionośne. Ucżony ten wraz ze swymi asystentami dokonał w okresie 5 lat 1.600 udanych wszczepień sztucznych naczyń.

adiunkta dr Kusia. Ten młody 36 letni lekarz, dociekliwy badacz i naukowiec z powołania, dostrzegł w pracy łódzkich inżynierów olbrzymie perspektywy stojące przed polską chirurgią.

W oparciu o protezy dostarczone przez CLPDz dr Kuś zwiększył ilość doświadczeń przeprowadzanych na zwierzętach. Technikę operacji doprowadzono do perfekcji. Wszystkie zabiegi wypadły pomyślnie. Można było bez ryzyka w wypadku konieczności zastosować wszczepienie sztucznej tętnicy człowiekowi.

NOCNY TELEFON I OPERACJA W BRZEGU

W nocy z 22-23 czerwca dr Kuś został wyrwany ze snu dzwonkiem telefonu. Lekarz ze szpitala w Brzegu, który słyszał o doświadczeniach prowadzonych we Wrocławiu, wzywał dr Kusia do rannego rolnika. Konieczna była natychmiastowa operacja i wszczepienie sztucznej tętnicy celem ratowania prawej ręki chorego.

Decyzję podjęto natychmiast. W gabinecie lekarza w klinice znajdowała się jeszcze jedna niewykorzystana proteza. Nocne telefony dr Kusia do kolegów z prośbą o asystę przy trudnej operacji i... o godz. 2 nad ranem przystąpiono w szpitalu w Brzegu w dość prymitywnych warunkach do wykonania zabiegu.

Natychmiast po zabiegu rannego przewieziono do kliniki wrocławskiej. Przez 4 dni i noce dr Kuś nie opuszczał swojego gabinetu sąsiadującego z salą szpitalną. Czuwał nad chorym. W tym wielkim eksperymencie, nie chciał pozostawić nic przypadkowi. Po 7 dniach stwierdzono, że proteza działa wyśmienicie i jest nadal drożna. Po 12 dniach zdjęto choremu szwy operacyjne. Pacjent czuje się dobrze. Za kilka tygodni organizm wchłonie sztuczną tętnicę i rolnik będzie mógł po upływie pewnego czasu podjąć normalną pracę.

Decyzja lekarza nie była łatwa. W wypadku niepowodzenia znalazłby się on pod obstrzałem krytyki wielu chirurgów. Przecież protezy nie są zatwierdzone do użytku przez Ministerstwo Zdrowia.

* * *

Adiunkt dr Henryk Kuś od czerwca ub. r. otrzymuje specjalne stypendium Ministerstwa Zdrowia w wys. 1.500 zł mies. na prowadzenie doświadczeń.

CLPDz otrzymało od Zjednoczenia 70 tys. zł na prowadzenie już w ramach zaplanowanych prac laboratorium dalszych doświadczeń i rozwinięcie wytwarzania sztucznych tętnic.

Ten wyraz uznania wysiłków inżynierów i lekarza cieszy. Wydaje się jednak, że jeżeli są przewidziane fundusze miejskie, społeczne czy państwowe na nagrody za wprowadzenie postępu technicznego, to dwie

W Houston, najczynniejszym ośrodku chirurgii naczyniowej w Ameryce, grupa chirurgów naczyń krwionośnych operowała nawet 40 przypadków pęknięcia tętniaka. Zabiegi ich w 2/3 uratowały pacjentom życie. Gdyby wypadki te zdarzyły się kilka lat wcześniej, zakończyłyby się śmiercią pacjentów bez względu na to, czy poddano by ich operacjom, czy nie.

inicjatywy lekarza i inżynierów na nagrodę taką zasłużyły w pełni. Spotkanie tych inicjatyw wprowadziło bowiem olbrzymi postęp zarówno w chirurgii naczyń krwionośnych i serca jak i w rozwijaniu nowej produkcji protez znanej zaledwie w kilku krajach.

...DO DZIANEJ PROTEZY

Adjunkt III Kliniki Chirurgicznej we Wrocławiu dr. Henryk Kuś podczas doświadczalnego wszczepiania sztucznej tętnicy.

ODGŁOSY tygodnia

HALLO, TAXI-„LOT"

Wakacje, sezon wyjazdów zagranicznych uzmysłowiły z nową siłą upośledzenia także w dziedzinie komunikacji lotniczej.

Kiedy zlikwidowano lotnisko pasażerskie na Lublinku, Dyrekcja Polskich Linii Lotniczych „LOT" uzasadniła to „nierentownością połączeń lotniczych z Łodzią. — Zaledwie 136 kilometrów dzieli was od Warszawy. Odległość tę można przebyć pociągiem w ciągu niespełna dwóch godzin. Jeżeli więc ktoś będzie chciał lecieć samolotem, może przyjechać najpierw do stolicy i z Okęcia wystartuje w każdym kierunku" — tłumaczono wówczas.

Załóżmy, że ów ktoś chce jak najszybciej dostać się do Gdańska. Decyduje się już na podróż koleją do Warszawy. Z Łodzi może jechać pociągiem osobowym o godz. 5.18, bądź pośpiesznym o godz. 6.22. Pierwszy — wg rozkładu jazdy — przyjeżdża na dworzec Warszawa Śródmieście o godz. 7.47, drugi o godz. 8.04.

Tymczasem samolot z Warszawy do Gdańska startuje o godz. 7.40.

Na identyczne trudności napotyka również ktoś, kto chce lecieć do Poznania, Krakowa, czy Wrocławia. Samoloty bowiem startują: do Poznania — 7.10, do Krakowa — 7.50 i do Wrocławia — 7.30.

W podobnych tarapatach znajdują się też bardzo często cudzoziemcy. Prawie wszystkie samoloty PLL „LOT" linii międzynarodowych startują z Okęcia pomiędzy godz. 7 a 9. Np. do Zurichu samolot odlatuje o godz. 8.45.

Zmiana rozkładu lotów, szczególnie na liniach międzynarodowych, jest pewnie niemożliwa do przeprowadzenia. Może by jednak znaleźć inne rozwiązanie — np. uruchomić taksówkę powietrzną na trasie Warszawa—Łódź.

Można by tu wykorzystać niewielki samolot polskiej konstrukcji „AN-2". Prócz załogi może on zabrać na pokład 10 pasażerów. Koszt przelotu nie przekraczałby chyba 100 zł od jednej osoby.

„Odgłosy tygodnia" ciekawe są opinii „LOT" w tej sprawie.

NIE DO WIARY

Zdarzenie, którego byliśmy świadkami, nosi wyraźne znamiona cudu. Otóż na rogu ul. Andrzeja Struga i Alei Kościuszki wzniesiono metalowe rusztowanie. Kilka dni temu jący ul. Andrzeja „Mikrus" wpadł w poślizg i wylądował na jednej z rur rusztowania.

I tutaj zaczyna się dużej klasy dowcip „Mikrusowi" poza nieznacznym zgnieceniem zderzaka nic, ale to absolutnie nic się nie stało, natomiast rura została zdecydowanie „odkształcona".

Zebrany na miejscu spory tłumek komentujący wypadek, nie mógł, niestety, uzgodnić poglądów. My również nie wiemy, czy „Mikrus" był wyjątkowo solidny, czy rura wyjątkowo tandetna.

NA INTENCJĘ MO

Do kościoła rzymsko-katolickiego w Aleksandrowie, przy ul. Wojska Polskiego, nieznani sprawcy dokonali włamania w nocy z dnia 29 na 30 czerwca br. Zrabowali oni puszkę na pieniądze. Ksiądz proboszcz przypuszcza, że było w niej nie więcej niż 15 zł. Największą szkodę przestępcy wyrządzili kościołowi tym, że zaprószyli ogień od świecy, którą posługiwali się, rozpraszając ciemności. Ogień zniszczył chorągwie kościelne o wartości około 300 tysięcy zł.

Ksiądz proboszcz chętnie odpowiadał na wszystkie pytania oficerów służby kryminalnej. Nie mogąc w niczym więcej pomóc milicji, pracującej nad ustaleniem i zatrzymaniem sprawców włamania, odprawił w ubiegłym tygodniu mszę na intencję powodzenia akcji MO.